GŁOS KARMELU

Miesięcznik poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego

TREŚĆ ZESZYTU

Nr 12

ROCZNIK XIX GRUDZIEŃ 1950

GŁOS KARMELU

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY GŁĘBSZYM ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO

Rocznik XIX Grudzień Nr 12

O. Emil karmelita bosy

Dogmat Wniebowzięcia N. M. P.

Gdy w miesiącu sierpniu br. obiegła świat wiadomość, że Ojciec święty ma zamiar ogłosić jako dogmat wiary prawdę o Wniebowzięciu N. M. P., powstało może w duszach wielu katolików pewnego rodzaju zdziwienie i takie rozumowanie, przecież chyba nikt w tę prawdę nie wątpi lecz tak samo wierzy jak w inne prawdy wiary. Nic w tym rozumowaniu złego, gdyż sam papież Pius XI proszony w roku 1931, w tysiącpięćsetną rocznicę definicji Macierzyństwa Bożego N. M. P. na Soborze Efeskim (431) odpowiedział, że nie spotkał nigdy w życiu jeszcze takiego, kto by w tę prawdę nie wierzył, więc nie uważa za stosowne przystępować do definicji.

Kilkanaście lat upłynęło od tego czasu i widocznie definicja okazała się bardzo stosowna i na czasie, skoro Pius XII dnia 1. XI. br. bullą „Munificentissimus Deus“ ostatecznie i na zawsze zakończył wszelkie możliwe wątpliwości i subtelne dociekania teologów.

Dziś gdy już jesteśmy w spokojnym posiadaniu tej prawdy, zastanówmy się pokrótce jak doszło do definicji tej prawdy, oraz jaki jest jej sens i konsekwencje w naszym życiu duchowym.

I. Historyczny przebieg ruchu zdążającego ku definicji

Uroczysta definicja dogmatu Wniebowzięcia jest nie tylko godnym ukoronowaniem roku jubileuszowego ale także uwieńczeniem wspaniałego i spontanicznego ruchu teologicznego mającego na celu wyjaśnienie, możliwość i stosowność takiej definicji.

Ruch ten zaczął się dokładnie sto lat temu i wiąże się z dogmatem Niepokalanego Poczęcia teologicznie i ontologicznie. W prośbach zasyłanych do Stolicy Apostolskiej biskupi a za nimi wierni proszą równocześnie o definicję dwu dogmatów: Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia. Tak postąpili biskupi Belgii

i Hiszpanii. Szczególnie czynnym się okazał św. Antoni Maria Claret, niedawno kanonizowany, spowiednik królowej Izabeli II.

Sprawa była wszczęta na Soborze Watykańskim, gdzie ponad dwustu ojców Soboru przedłożyło słynne „Postulatum" o definicję. Od tej chwili ruch ogarnął cały świat katolicki Oto kilka cyfr. Od roku 1849 do 1940 prośbę o definicję wniosło 113 kardynałów, 2.505 arcybiskupów i biskupów, 26 opatów, 611 przełożonych generalnych zakonów, 32 tysiące księży, 50 tysięcy członków zgromadzeń zakonnych i ponad 8 milionów wiernych.

W tym wyścigu miłości i przywiązania do Maryji Polska zajmuje jedno z pierwszych miejsc Na szczególną uwagę zasługuje prośba biskupów polskich zgromadzonych na synodzie plenarnym w Częstochowie 1936 r. Powołują się w niej biskupi polscy na silną wiarę wiernych, objawiającą się w przeróżny sposób w liturgii, ilości świątyń wzniesionych pod wezwaniem Wniebowziętej. Wyrazem tej wiary jest arcydzieło Wita Stwosza w kościele N. M Panny w Krakowie, oceniane przez wielu znawców sztuki jako najdoskonalsze przedstawienie tej prawdy. Z prac teologicznych w Polsce należy wymienić doskonałe prace ks. Sieniatyckiego i ks. Kremera.

Przejdźmy teraz do ostatnich chwil, że się tak wyrazimy, poprzedzających definicję, tj. do lat 1945—1950. Nowym bodźcem do entuzjastycznego wprost domagania się definicji było opublikowanie w r. 1945 dwu olbrzymich tomów zawierających wszystkie prośby skierowane w ciągu stulecia do Stolicy Świętej [1]). Trudno tutaj wyliczać wszystkie, podamy więc tylko niektóre dane dla zobrazowania natężenia ruchu. W ciagu pięciu lat ostatnich tego stulecia prośbę o definicję wniosło 852 biskupów, wszyscy przełożeni 63 zakonów, 122 tys. członkow zgromadzeń zakonnych, 200 uniwersytetów i seminariów. Oprócz tego spod pióra katolickich pisarzy wyszła wielka ilość dzieł naukowych i broszur popularnych.

Jednak najważniejszym faktem i niejako zwiastunem definicji była encyklika Piusa XII „Deiparae Virginis" wysłana 1-go maja 1946 r. do wszystkich biskupów całego świata z następującym zapytaniem: „Zechciejcie nam oznajmić, Czcigodni Bracia, czy Wy sami w Waszej mądrości i roztropności uważacie prawdę o Wniebowzięciu jako możliwą do definicji i czy kler i wierni Wam powierzeni tego pragną".

Na to pytanie odpowiedzieli prawie wszyscy, bo brakuje tylko 86, a to z dalekich misji. Z nadesłanych zaś odpowiedzi

---

[1]) *Petitiones de Assumptione corporea B. V. Mariae in caelum definienda ad Sanctam Sedem delatae*, a Gulielmo Hentrich et Rudolfo Gualtero de Moos S. J. Typis Poliglottis Vaticanis 1942.

1.169 biskupów czyli 98% dało odpowiedź twierdzącą na oba pytania, 22 wyraziło małą wątpliwość co do stosowności chwili, a tylko 2 wyraziło małą wątpliwość o możliwości definicji. Mamy więc przykład, że biskupi stanowiący urząd nauczycielski w Kościele prawie matematycznie byli zgodni. To już wystarczyło, aby Pius XII przystąpił do uroczystej definicji.

II. Sens definicji dogmatu Wniebowzięcia

Najpierw parę słów o definicji dogmatycznej w ogólności. Przez definicję (pochodzi z łac. *definire* — określić, orzekać) dogmatyczną rozumiemy uroczysty akt najwyższej władzy nauczycielskiej Kościoła orzekający w sposób nieomylny i nieodwołalny, że pewna prawda została przez Boga objawiona i jako taka musi być przez wszystkich wierzona pod groźbą wpadnięcia w herezję. Sam więc tylko Kościół Katolicki, jako jedyny prawdziwy Kościół, otrzymał od Chrystusa misję przechowywania depozytu objawienia Bożego, objaśniania go i podawania wiernym do wierzenia.

W dwu wypadkach wydaje Kościół uroczyste definicje: na soborach powszechnych i przez tzw. definicję „ex cathedra", kiedy to sam papież ogłasza daną prawdę jako objawioną przez Boga.

Dwie są cechy definicji dogmatycznej: nieomylnyść i niezmienność. Nieomylność polega na tym, iż sobór lub papież w tym wypadku nie może się mylić. Charyzmat nieomylności ma swą przyczynę w specjalnej działalności Ducha świętego, obiecaną Piotrowi i jego następcom. Drugą własnością definicji dogmatycznej jest jej niezmienność, to znaczy, że już nigdy przez nikogo nie może być odwołana, tak że i sam papież jest zobowiązany jak i inni wierni wierzyć w prawdę zdefiniowaną.

Zastosujmy teraz powyższe dane do prawdy Wniebowzięcia. Gdy więc dnia 1 listopada papież „ex cathedra" zdefiniował dogmat o Wniebowzięciu, nie stworzył ani nie odkrył przez jakieś dociekania teologiczne nowej prawdy, tylko w sposób ostateczny i jasny orzekł, iż prawda o Wniebowzięciu jest przez Boga objawiona. Dwa zaś są źródła, z których czerpiemy skarby objawienia: Pismo święte i tradycja. W jednym więc z tych musi się znajdować koniecznie prawda o Wniebowzięciu. Należy tutaj zaznaczyć podwójny sposób objawienia. Może być jakaś prawda objawiona i zaobserwowana od samego początku w sposób jasny, wyraźny, sama w sobie, jak np. natura ludzka Chrystusa. Inne prawdy są objawione w sposób niejasny, czyli że są zamknięte w innych prawdach objawionych.

W tym drugim wypadku jest możliwy pewny rozwój dogmatyczny w tym sensie, że prawda objawiona powoli zaczyna poprzez studia, pobożność rozważającą, dochodzić do jasności w nauczaniu aż do największego natężenia, do definicji Wniebowzięcie należy właśnie do rzędu takich prawd. Dlatego nie należy się domagać otwartych i jasnych źródeł, które by nas doprowadziły aż do czasów apostolskich. Przeciwnie, jest w literaturze okres milczenia o tej prawdzie, odczuwa się brak jasnych dokumentów.

Kiedy zaś poczynają się snuć refleksje teologiczne nad Wniebowzięciem i gdy teologia mariańska wysunęła się na pierwszy plan, zaczynamy stwierdzać, iż prawda o Wniebowzięciu zawarta jest w innych prawdach, jak w Jej Boskim Macierzyństwie, dziewictwie, Niepokalanym Poczęciu i w ścisłym zjednoczeniu z losami Chrystusa.

Dzieje się więc w teologii coś podobnego co w astronomii. Patrząc tylko przelotnie na firmament niebieski nie widzimy od razu wszystkich gwiazd, lecz tu i ówdzie gwiazdy przedniejszej wielkości, inne się zlewają tworząc jasne pola i drogi; lecz wpatrując się lepiej za pomocą przyrządów optycznych widzimy gwiazdy, których przedtem nie widzieliśmy, czy raczej widząc nie wyróżnialiśmy. Te nowe gwiazdy, które widzimy, nie powstają tej chwili, gdy je spostrzegamy i zaczynamy się im lepiej przyglądać, lecz istniały już przedtem. Tak samo patrząc na firmament objawienia Bożego spostrzegamy coraz to nowe prawdy, które już dawno istniały.

Zobaczmy teraz na czym istotnie polega definicja dogmatu Wniebowzięcia. Trzeba tu rozróżnić f a k t wniebowzięcia i s p o s ó b, w jaki się ono dokonało. Sam fakt zawiera tylko to, że Maryja żyje w niebie z duszą i ciałem uwielbionym. Jest to fakt nadprzyrodzony, który nie może być przedmiotem empirycznego ani historycznego zbadania. Jako przywilej Wniebowzięcie polega na tym, że podczas gdy wszyscy inni ludzie przeznaczeni do chwały muszą czekać sądu ostatecznego aby być wywyższonymi co do ciała, to Maryja podobnie jak Chrystus nie miał tej zwłoki.

Inną kwestią, mniej istotną, jest sposób dokonania się Wniebowzięcia, mianowicie: czy Maryja umarła, zmartwychwstała i została przeniesiona do nieba, czy też bez śmierci została wniebowzięta.

Bulla milcząc o sposobie dokonania się Wniebowzięcia mówi o samym fakcie:

„Po zaniesionych raz po raz błagalnych prośbach do Boga — głosi Ojciec święty w swej wiekopomnej bulli — i po wezwaniu światła Ducha prawdy, na chwałę Wszechmocnego Boga, który z szczególną łaskawością obsypał darami Dziewicę Maryję, na cześć Jej

Syna, nieśmiertelnego Króla wieków, zwycięzcy grzechu i śmierci, dla przymnożenia chwały samejże czcigodnej Matce, oraz dla radości i wesela całego Kościoła, powagą Pana Naszego Jezusa Chrystusa, świętych Apostołów Piotra i Pawła i Naszą, ogłaszamy, wyjaśniamy i ostatecznie orzekamy, iż jest to prawda przez Boga objawiona: że Niepokalana Bogarodzica zawsze Dziewica Maryja po odbyciu pielgrzymki ziemskiego żywota została z ciałem i duszą wzięta do chwały niebieskiej".

III. Dogmat Wniebowzięcia a nasze życie nadprzyrodzone

Ogłoszenie pewnej prawdy za dogmat wiary jest wydarzeniem najdonioślejszym i aktem najważniejszym nieomylnej władzy Kościoła. Do tego rodzaju aktów Kościół przystępuje tylko wtedy, kiedy spodziewa się, że nowa definicja sprawi ożywienie w Ciele mistycznym Chrystusa. Rozmyślając o tej prawdzie możemy wyciągnąć z niej głębokie wnioski tyczące się naszego życia nadprzyrodzonego.

a) W n i e b o w z i ę c i e   s u b l i m a c j ą   n a t u r y   l u d z k i e j.

Wywyższenie Marii przez wniebowzięcie jest także naszym wywyższeniem i naszym triumfem. Maryja reprezentuje nas we wszystkich wielkich tajemnicach swego życia. Wcielenie Słowa, w którym odbyły się mistyczne zaślubiny natury ludzkiej z naturą Boską, dokonało się za przyzwoleniem natury ludzkiej, a zgodę tę w imieniu całej ludzkości wyraziła Maryja przez swoje „fiat". Jej zgoda była także i naszą zgodą. Tak samo i pod Krzyżem Maryja przedstawia tych, którzy przez współcierpienie będą przyjmować i kontynuować dzieło zbawcze Chrystusa. Ta reprezentacja ludzkości nie skończyła się z życiem doczesnym Maryji, lecz doszła do doskonałości we Wniebowzięciu. Chrystus obiecał wszystkim swoim wiernym oglądanie Boga twarzą w twarz w ciele uwielbionym. Potrzebujemy jednak choćby jednego przykładu spełnionej obietnicy na jakiejś jednostce z ludzkości. Maryja zaś jest całkowicie wzięta z nas i dlatego widząc Ją uwielbioną widzimy obraz przyszłego naszego wywyższenia. W Maryji widzimy i rozumiemy nasze przeznaczenie, przeznaczenie wspaniałe i porywające. W świetle dogmatu Wniebowzięcia lepiej oceniamy człowieka, który chociaż tak często upośledza sam siebie, nie jest jednak małym w oczach Boga, skoro jest przeznaczony do tak wzniosłej chwały.

b) W n i e b o w z i ę c i e   o s t a t e c z n y m   z w y c i ę s t w e m   d u c h a.

Życie chrześcijańskie wypełnia walka człowieka duchowego z człowiekiem cielesnym. Wierność wymogom ducha pozwala prowadzić życie sharmonizowane, proste, pełne szlachectwa i wiodące do chwały zmartwychwstania, w którym ciało weźmie udział w uwielbieniu duszy.

Zatrzymując oczy naszej duszy w sferach wyższych, lepiej sądzimy o rzeczach tej ziemi, o poddańczej roli naszego ciała względem ducha.

Maryja jest istotą w naszym wydaniu, w której duch panował niepodzielnie; jest arcydziełem, w którym duch opanował wszystko do tego stopnia, że za sprawą Ducha Świętego została Matką Boga. Miała jednak ciało, choć wolne od złych skłonności, to jednak podobnie jak nasze cierpiętliwe. Lecz oto przez Wniebowzięcie nastąpiło ostateczne zwycięstwo pierwiastka duchowego. Dusza Jej przybrała takie własności, tak promieniejące piękno, że jasność jej odbiła się w Jej ciele, czyniąc Ją podobną do uwielbionego ciała Chrystusa. Jest to pocieszające dla nas, którzy tak pod ciemnym kątem patrzymy na śmierć, która przecież jest wstępnym warunkiem do nowego życia w ciele uwielbionym i zapowiedzią zwycięstwa ducha nad ciałem.

c) Wniebowzięcie triumfem łaski.

Doskonałość natury ludzkiej zależy od wpływu wywartego na nią przez łaskę Podstawą doskonalenia i źródłem życia Bożego w Kościele jest łaska. Korzystamy z wpływów łaski dzięki tej jej właściwości, że ona nie niszczy lecz udoskonala naszą naturę. Łaska zaś dąży do uformowania w nas doskonałego uczestnictwa w życiu Bożym. Lecz zanim urzeczywistni to wspaniałe dzieło, zmuszona jest walczyć ze złymi skłonnościami natury. Wiele walk musi przejść to nasienie przyszłej chwały, złożone w naszej duszy na chrzcie, nim wyrośnie i rozkwitnie. Jakże różnorodna jest historia łaski w poszczególnych duszach! Wielu chrześcijan zrywa związek z Bogiem, niekiedy nawet na długi okres życia. Wielu na szczęście rychło powraca i utwierdza się w łasce. Dusze te są polem ciągłego zmagania się łaski z naturą. Dopiero w niebie nastąpi całkowite zapanowanie i triumf łaski, polegający na tym, że zostaną zniesione wszelkie sprzeciwy człowieka wobec łaski. Wniebowzięcie N. M. P. uzmysławia nam tu na ziemi nasz przyszły stan mianowicie tę przedziwną jedność dwu pierwiastków, Boskiego i ludzkiego.

Warunkiem koniecznym do oglądania Boda jest podobieństwo do Niego przez łaskę. Im to podobieństwo jest wyższe, czyli im poziom łaski jest wyższy, oraz im poznanie i miłość są intensywniejsze, tym nasze szczęście będzie większe Stopień bowiem naszej doskonałości, świętości i szczęścia zależy ściśle od naszego zbliżenia się do źródła tych rzeczy tj. Boga. Wniebowzięta, chociaż przewyższa nas niepomiernie stopniem łaski i konsekwentnie stopniem swego szczęścia w niebie, to jednak jest nam bliskim i konkretnym przykładem chwalebnego triumfu

łaski w wizji uszczęśliwiającej. Każdy z nas tyle otrzyma chwały w niebie, ile tu na ziemi pozyska sobie przez miłość łaski. Jest to dla nas pocieszającym, że przez każdy dobry uczynek wykonany w stanie łaski możemy sobie przymnożyć chwały wiecznej.

d) Wniebowzięta Pośredniczką łask.

Wniebowzięcie jest dla Maryji koroną wszystkich Jej przywilejów, jest również i dla nas rękojmią ziszczenia się naszych nadziei, tym bardziej, iż Maryja staje się Wspomożycielką naszą w osiąganiu tych wyżyn, jakie sama osiągnęła.

Maryja nie opuszcza nas w niebie. Imię każdego z nas zapisane jest w Jej Sercu Niepokalanym. Mieszkańcy nieba w zachwycie oglądania Boga nie zrywają swych związków z ziemią i stosunków z tymi, których kochali. Owszem, ich życzliwość wobec pozostawionych na ziemi nabiera nowych możliwości wspierania swych ukochanych. W chwili wniebowzięcia N. M. P. objęła nowy urząd w planach Bożych, Pośredniczki łask, tak że Wniebowzięcie jest wypełnieniem się planu Bożego tyczącego się udziału Maryji w dziele zbawienia ludzkości. A jakież są plany Boże względem Maryji?

Maryja została od wieków wyznaczona i pojmowana w planach Boga jako Matka Jezusa. To było celem Jej istnienia. Toteż w Jej życiu dwa momenty odgrywają rolę: pierwszy to „fiat" przy Zwiastowaniu, drugi to obecność pod krzyżem na Kalwarii. Przez te dwa momenty została powołana do uczestnictwa w dziele Odkupienia, w którym tak długo będzie uczestniczyć, jak długo będzie trwało do końca świata, tj. dopóty, dopóki zlewać się będzie na dusze łaska Chrystusowa. Maryja dała niegdyś fizyczne życie Chrystusowi, które było narzędziem naszego odkupienia, teraz zaś współpracuje nad formowaniem się i wzrostem Mistycznego Ciała Chrystusa. Na tym właśnie polega Jej Macierzyństwo duchowe w Kościele i podobieństwo z Chrystusem Odkupicielem.

W tym celu powierzył Jej Bóg szafarstwo wszystkich łask, jakie spływają na dusze. Nasze więc losy są w dobrych rękach, bo w rękach najczulszej z matek. Możemy do Niej uciekać się zawsze i we wszelkich sprawach, nawet wtedy, kiedy wina nie pozwala nam podnieść oczu i patrzeć Jej w oblicze. Przyjmuje bowiem i takich, wszak Jej Syn orzekł, iż przyszedł szukać i zbawiać to, co było zginęło (Mat., XVIII, 11). Jej macierzyńskim zadaniem jest wspomagać Syna w Jego dziele. Z taką samą więc miłością, jaką otaczała naturę ludzką Chrystusa, otacza również i mistyczne członki Chrystusa dając im przez szafowanie łaskami możność upodabniania się do Chrystusa.

Bez Maryji wznieść się do nieba nie możemy, z Maryją zaś wszystko zwyciężyć potrafimy. Pięknie to wyśpiewał Dante poeta-teolog:

„Pani, tej jesteś mocy i szczodroty,
Że kto chcąc łaski, do cię nie ucieka,
Taki bez skrzydeł waży się na loty.
A tak jest wielka Twoja dla człowieka,
Który Cię wzywa, uczynność i dbałość,
Że go ratuje, ani prośby czeka.
W Tobie jest zbożność i w Tobie wspaniałość,
W Tobie dobroci poryw miłosierny,
W Tobie wszelaka stworzeń doskonałość".

(Raj, pieśń 33, 13—21).

Ks. Józef Winkowski

Evangelizo vobis...

(Łuk. 2, 10).

W cichą noc betleemską zrodziła się w świecie Ewangelia...

Przedziwne to słowo!

Z posłannictwa bożego wyrzekły je po raz pierwszy do rozbudzonych światłością i pełnych lęku pasterzy archanielskie usta. *Evangelizo vobis... Oto opowiadam wam wesele wielkie* (Łuk. 2, 10).

...Starodawna tradycja chrześcijańska przypisywała je archaniołowi Gabrielowi, który był szczególnym posłańcem Majestatu Bożego dla zwiastowań Wcielenia drugiej osoby Przenajświętszej Trójcy. Zachariaszowi oznajmił cudowne przyjście na świat Jana Chrzciciela, Poprzednika Jezusowego. Przeczystej Maryji tajemnicę Bożego Macierzyństwa... Zaiste godziło się, by swoją misję dopełnił w dziewięć miesięcy od Nazaretu zwiastowaniem Bożych Narodzin i ogłoszeniem Ewangelii. A to ostateczne zwiastowanie tak krótkie, tak proste zawarło w sobie przecież — jako i tamte pierwsze — treść nieskończoną. Treść, na którą od lat tysięcy czekała cała ludzkość zmazą pierworodną zgnębiona. Wielkie, powszechne, jedyne w jej dziejach oczekiwanie w tych słowach pierwszej Ewangelii betleemskiej znalazło wreszcie swoje wypełnienie...

Dziś się wam narodził... (Łuk. 2, 11) ...Przyszedł... Jest!

Pragnienia Patriarchów, przepowiednie Proroków, błagalne westchnienia dusz świętych, marzenia ludu izraelskiego — to wszystko tętniło w słowach rzuconych z wysokości pasterskiej gromadzie...

Przed siedmioma zgórą wiekami słyszał w duchu te słowa i oglądał ten cud największy z proroków Starego Zakonu, Izajasz, najsłuszniej zwany ewangelistą Starego Przymierza. On to słyszał, widział i zapisał słowa, które nas co rok wzruszają w Introicie, trzeciej, królewskiej mszy świętej w uroczystość Bożego Narodzenia. Za łaską Boga Najwyższego na siedemset lat przed cudem oglądał Izajasz *słowo, które się stało* (Łuk. 2, 15). Oglądał, jakoby już dopełnione i wykonane, by kiedyś po latach stać się świadkiem, że zapowiedzi boskie, gdy przyjdzie czas, wypełnią się z całą bezwzględną pewnością, że nic ich wtedy odwlec, unicestwić nie zdoła...

Z uniesieniem wołał więc i śpiewał książę Proroków: *Parvulus natus est nobis et filius datus est nobis* (9, 6) ...*Maluczki narodził się nam i syn jest nam dany...*

Lecz mimo wszystko, mimo całą wyrazistość i całą pewność, przecież było to tylko widzenie, tylko nadprzyrodzone przeczucie zdarzenia, które o całe siedem wieków poprzedzić miało cud betleemskiej nocy.

Nie tak wołanie anielskie!

Evangelizo vobis! Zwiastuję wam to, co się już stało. Co się dokonało opodal was. Tuż, na betleemskich rozłogach: *Iż wam się narodził dziś Zbawiciel, który jest Chrystus Pan w mieście Dawidowym* (Łuk. 2, 11).

Zaiste to Ewangelia z niebios. Dobra, najlepsza nowina, na którą od rajskiej zapowiedzi czekał świat z upragnieniem najgorętszym!

I.

Przyjrzyjmy się bliżej w serdecznym uniesieniu tej najmilszej wieści!

Wniknijmy głębiej w niepojęte tajemnice Betleemu!

A najpierw — dlaczego właśnie Betleemu?

Gdy w starożytnej Grecji — jak mówi wiekowa tradycja — mityczny wieszcz i pisarz wspaniałych epopei narodowych, pozbawiony wzroku, rzekomy Homer stworzył mimo ślepoty swoje niedoścignione arcydzieła — *Iliadę* i *Odysseję* — wśród siedmiu miast helleńskich w Małej Azji, na wyspach egejskich, jońskich i w greckiej ojczyźnie rozgorzał słynny, zacięty spór, gdyż każde z nich twierdziło, że to w nim właśnie stała kolebka wielkiego poety... Poety, który naprawdę nigdy ponoś nie istniał!

Ileż to miast w światowładnym imperium rzymskim ubiegałoby się o zaszczyt stolicy narodzin Chrystusa i jego Ewangelii!

Czcigodna, przez Boga zaszczycona cudami i jedynym na ziemi jego przybytkiem — Jerozolima...

Potężny Rzym, całemu wówczas znanemu światu narzucający swoje władanie...

Świetne Ateny, przewodzące blaskiem swej tradycji wszystkim niemal szczepom greckim...

Królewska Aleksandria, głośna skarbami nauki i ksiąg od trzech wieków skwapliwie w niej gromadzonych...

Przebogata, kipiąca życiem handlowym, złotem i rozkoszami-syryjska stolica, Antiochia...

Nie!

Do żadnej z tych przesławnych metropolii cesarstwa nie doszła dziś wieść betleemska ani anielskie ewangeliczne orędzie. Bo też w żadnej z nich nie narodził się Syn Boży.

Bóg wzgardził ich wielkością i pychą.

Dobrej nowiny znad ubogiej szopy nie usłyszeli ani dumni książęta wybranego ludu, ani kapłani jerozolimscy, ani pyszni faryzeusze, ni doktorzy w Piśmie... Nie usłyszał jej potężny cesarz rzymski Augustus, ni dostojni członkowie rzymskiego senatu, najwspanialszego zgromadzenia pierwszych obywateli świata... ...Ani posiwiali wiedzą mędrcy ateńskiego Areopagu... Ani uczeni wpatrujący się bezustannie w bezcenne księgi aleksandryjskich bibliotek... Ani bogacze i kapitaliści tętniącej ruchem i zgiełkiem Antiochii...

Bóg w swoich odwiecznych wyrokach przeznaczył lichą Dawidową mieścinę na dokonanie cudu narodzin Jezusa i na pierwsze ogłoszenie jego Ewangelii. Czyż nie po to z dziesiątków narodów ziemi wybrał naród izraelski? Czyż nie po to wykreślił mu ojczyste w Palestynie granice?... W Palestynie, którą w swej boskiej geografii rzucił na pogranicze trzech części świata... nad łączące w jedność trzy kontynenty Morze Śródziemne, aby stamtąd właśnie wieść Ewangelii, jak promienie wielkiego ogniska, strzelała w świat pogański i oświecała drogę boskiej nauce Chrystusa!

Tak spodobało się najmędrszemu Bogu i tak się stało w noc Pańskich narodzin. W cichym, drzemiącym w judzkich pagórkach Betleem ogłosili anieli wieść Ewangelii...

Evangelizo vobis...

II.

Ale i to bynajmniej nie wszystkie jeszcze tajemnice tej wzruszającej swą cudowną głębią nocy!

Uchylmy tylko dalej jej przedziwnej, gwiaździstej zasłony!

I ty Betleem, ziemio Judzka z żadnej miary nie jesteś najpodlejsze między książęty Judzkimi: albowiem z ciebie wynijdzie wódz, który by rządził lud mój Izraelski (Mat. 2, 6).

Przez co Betleem zasłużyć mogło, na swoje jedyne w dziejach wybrańśtwo, iżby w nim narodził się Syn Boży, iżby w nim padło pierwsze słowo jego Ewangelii?

Wspomnijmy tylko...

Wszak Betleem to ojcowizna Dawida, praprzodka Chrystusa, jako człowieka... Tam się narodził z ojca Izaja ten skromny pastuszek rodzicielskich owiec... Stamtąd wyruszył z chłopięcą procą w torbie na pogrom pogańskiego olbrzyma, Goliata, ratując królestwo i naród... Tam z rąk świątobliwego Samuela odebrał swoje namaszczenie na króla Izraela, ów -największy przy tym natchniony wieszcz i psalmista swego ludu...

Betleem — to Dawidowym szlakiem ojczyzna pasterzy. Bujne, zielone pastwiska żywiły tam całe rzesze owiec, z których potem najchętniej co najbardziej urodziwe, bieluchne baranki wybierano na codzienną, ranną i wieczorną ofiarę przebłagalną w świątyni...

Betleem — to miasteczko ludzi ubogich, których synowie właśnie owym pasterstwem, jako swym zawodem się trudnili...

Betleem wreszcie — to nazwą swoją znaczące *Dom Chleba...* Złotych ziarn pszenicznych nigdy nie brakło na jego rodzajnych niwach...

I oto Betleem stało się miejscem narodzin Jezusa...

W Ewangelii nazywać go będą Synem Dawida, a i on sam do tego ziemskiego synostwa, jako *Syn Człowieczy*, chętnie się będzie przyznawał.

Po ziemskim przodku na zawsze zostanie mu przedziwne umiłowanie owiec i baranków... Nazwie się kiedyś ich *Dobrym Pasterzem...* Ich też imieniem tak chętnie nazwie swój umiłowany Kościół. Za owczarnię swoją wreszcie życie położy na ołtarzu krzyża.

On też, jako *Pasterz, co duszę swoją kładzie za owce swoje* (Jan 10, 11) powstanie przeciw Goliatowi, straszliwemu szatanowi oszalałego pogaństwa, jego zepsucia i rozkładu i mocą swoją przedziwną ujarzmi go i zwycięży...

Śmiercią swoją ofiarną zamknie na zawsze krwawe ofiary Starego Zakonu z betleemskich owiec wybierane, on właśnie sam, betleemski *Baranek Boży,* nieskalany... najczystszy...

A Ewangelię swoją nazwie głośno i publicznie Ewangelią ubogich i jako jeden ze znaków i cudów swego mesjańskiego posłannictwa zamknie ją w przedziwnej odpowiedzi przekazanej przez uczniów Janowych na tegoż zapytanie, kim jest właściwie: *Szedłszy odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli...* oto — *ubogim ewangelię opowiadają* (Mat. 11, 4, 5).

I wreszcie... Rodząc się w Betleemie, Jezus staje się dzieciędem i domownikiem onego *Domu Chleba*... Chleba z ziaren pszenicy, który w swej Ostatniej Wieczerzy pozostawi światu, jako wiekuistą, cudowną pamiątkę Golgoty ale i Betleemu, krzyża, ale i żłóbka, śmierci, ale i narodzin...

* * *

Ileż cudów! Ile klejnotów! Ile wspaniałości zawarł Bóg w owej Dobrej Nowinie ogłoszonej w noc betleemską archanielskimi usty! Tylko Bóg jeden, Stwórca świata, władca dziejów ludzkości i *Król wieków* (1 Tym. 1, 17) mógł w swych niedocieczonych zamiarach i planach takie wytyczać drogi wypadkom, tak łączyć przeszłość z przyszłością, takie w nich niezgłębione zamykać tajemnice.

Oto cud w Betleem ogłoszonej Ewangelii Jezusa!...

Cóż nam zostaje, jak tylko paść przed nią na kolana i słowami Dawidowego psalmu z całym Kościołem, jak to uczynił w tym świętym czasie w Jutrzni Bożego Narodzenia, w najgłębszej pokorze, podziwie, uwielbieniu zanucić ową, jakoby odwieczną Jezusową kolędę, hymn radości i uniesienia tej przecudownej nocy:

Pójdźcie, radujmy się w Panu,
śpiewajmy Bogu, Zbawicielowi naszemu!
Idźmy przed obliczem jego ze śpiewaniem
i w psalmach go wysławiajmy...

. . . .

Bo on jest Panem Bogiem naszym
a my lud jego i owce jego pastwiska!

(Ps. 94, 1, 2, 7).

Ks. Michał Rękas

Komunia święta chorych

Każdy chrześcijanin przez Chrzest święty uzyskał bliską łączność z Jezusem, stał się Jego żywą cząstką, Chrystus w każdym żyje i działa. Kto należy do Apostolstwa Chorych, pojmuje tę łączność dobrze i wie, że tylko w niej znajdzie właściwą podstawę skutecznego apostolstwa. Chorzy, starzy, ułomni, chociaż fizycznie, cieleśnie unieruchomieni, skazani na pomoc innych, mogą jednak okazać wielką ruchliwość duchowną, mogą być i stają się rzeczywiście apostołami, uświęcają siebie i bliźnich.

Tak spełniają to, co w Ewangelii zapowiedział Jezus, kiedy mówił: „Kto pożywa ciało moje i pije moją krew, ma żywot wieczny, a ja go wskrzeszę w ostatni dzień... Bo ciało moje prawdziwie jest pokarmem, a krew moja prawdziwie jest napojem. Kto pożywa moje ciało i pije moją krew, we mnie mieszka, a ja w nim" (Jan 6, 55—56). Komunia święta łączy nas więc z Jezusem tak ściśle, jak pokarm łączy się z tym, który go pożywa. Przez połączenie z Jezusem, wchodzimy w styczność z całym Kościołem. Tak uczył św. Paweł: „Bo wielu z nas jest jednym chlebem i jednym ciałem, wszyscy, którzy jednego chleba uczestnikami jesteśmy" (1 Kor. 10, 17). To samo wyraził Ojciec święty niedawno w takich słowach: „W świętej Eucharystii wierni pożywają się i wzmacniają na wspólnej dla wszystkich uczcie, oraz zespalają się między sobą i z boską Głową całego Ciała węzłem niewysłowionym i boskim" (Pius XII, Mystici Corporis).

W Ewangelii św. Mateusza czytamy (26, 26—28): „A gdy uczniowie wieczerzali, wziął Jezus chleb, błogosławił, i łamał, i dał uczniom swoim: mówiąc: Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. A wziąwszy kielich, dzięki czynił i dał im, mówiąc: Pijcie z tego wszyscy. To jest bowiem Krew moja Nowego Testamentu, która za wielu wylana będzie na odpuszczenie grzechów". Cały nasz kult dla Eucharystii zawarty jest w tych słowach przez samego Jezusa: „Bierzcie i jedzcie". W każdej Mszy świętej powtarza Jezus ustami kapłana i cicho, ale natarczywie, jakby wprost do ucha, do serca każdego katolika: Bierzcie i jedzcie...

Komuż więcej potrzeba tego Chleba życia, jak nie chorym, jak nie tym, którzy w starości zbliżają się do bram życia wiecznego? Jak dwaj uczniowie z Emaus powtarzają więc: „Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił" (Łk. 24, 29). Jezus siadł z nami do stołu, wziął chleb, błogosławił, łamał i podawał im. „Otworzyły się oczy ich, poznali Go... Już oczy i serca wielu katolików otworzyły się, poznali Jezusa, wieczerzali z Nim. Chociaż

jako chorzy nie mogą często bywać w kościele, nie mogą uczestniczyć we Mszy świętej, to jednak pragną, jak dawniej, gdy byli zdrowi, przyjmować Jezusa w Komunii świętej. Pragnie tego także i Jezus, który miłował chorych, na każdego ręce wkładał, zdrowie wracał duszy i ciału cierpiącemu... Parafia umożliwia więc chorym łączność z Jezusem przez udział z Triduum Eucharystycznym, w parafialnym dniu chorych, podczas misyj parafialnych, albo też przez częste zanoszenie Komunii św. do domu chorych.

Prawo kościelne i Rytuał Rzymski (Księga obrzędów) podają przepisy i zalecenia, jak ma się odbywać ta łączność chorych z Jezusem przez Komunię świętą. W niektórych okolicach niektórzy katolicy znają tylko Komunię św. chorych i starców umierających. W wielu innych okolicach tysiące katolików chorych i starych już wiedzą, że oprócz Wiatyku mogą przyjmować Komunię świętą często, z pobożności, dla nabrania sił do pełnienia apostolskiej ofiary cierpienia wespół z Jezusem.

Łacińskie słowo *viaticus* oznacza zaopatrzenie na drogę w chleb, żywność, pieniądze. *Wiatyk w mowie kościelnej oznacza Komunię świętą przyjmowaną na drogę do życia wiecznego.* Takie jest prawo Boże ogłoszone przez samego Jezusa: „Jeślibyście nie pożywali Ciała Syna Człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieć życia w sobie“ (Jan 6, 54). Prawo kościelne w kanonie 865 § 1 głosi to samo innymi słowami: „W niebezpieczeństwie śmierci, z jakiejkolwiek by ono pochodziło przyczyny, wierni są obowiązani przyjąć Komunię świętą“. Według teologii katolickiej i prawa kościelnego te słowa „w niebezpieczeństwie śmierci“ należy rozumieć nie jako ostatnie chwile agonii, konania, ale jako taki stan życia i choroby, w którym przypuszczalnie może nastąpić śmierć (starość, przejście ciężkiej operacji, choroba zakaźna, pójście na front itd.). Każdy wierny obowiązany jest przyjąć Komunię świętą, gdy znajdzie się w stanie zagrożenia śmiercią. Każdy kapłan obowiązany jest wówczas udzielić Wiatyku. Można go przyjmować w każdej porze dnia i nocy, nie na czczo, nawet gdy się w tym dniu rano już przyjęło Komunię świętą zwyczajnie. Prawo kościelne mówi w kanonie 865: „*Nie należy odwlekać udzielania Wiatyku. Ci, którym powierzono troskę o dusze, niech czujnie dbają o to, by chorzy byli zaopatrzeni wtedy, gdy mają pełną świadomość*“. Kanon 854 poleca udzielanie Wiatyku także dzieciom, które jeszcze nigdy nie przyjmowały Komunii św., skoro tylko doszły już do używania rozumu i mogą być łatwo przygotowane do rozróżnienia Eucharystii od zwykłego chleba.

Podałem tu krótko najważniejsze przepisy co do Wiatyku. Rozważcie wszystko i omówcie sprawę z domownikami i sąsiadami. — Katolicy nie powinni zwlekać z wezwaniem kapłana i przyjęciem

Wiatyku. Większych Jezus udzieli łask, gdy katolik przyjmie Komunię św. w pełni przytomności duchowej i lepiej będzie mógł przeżyć złączenie z Boskim Lekarzem. Całe otoczenie chorego odniesie stąd także wiele korzyści duchowych. Zdrowi winni więc pamiętać o tym, żeby zawczasu wezwać kapłana do chorego, by chorym umożliwić przyjęcie Komunii św. w pełni świadomości. Takie życzenie mają wyrazić chorzy katolicy, starcy, ułomni wobec swojej rodziny, wobec swoich opiekunów, w szpitalu, sanatorium, w domu opieki. Chodzi tu bowiem *o prawo Boże, o życie wieczne!* Nie można tej sprawy Wiatyku odwlekać, zostawiać na ostatnie chwile konania. Wiecie dobrze, ile przykrości doczesnych, jak wielka strata w życiu wiecznym wynika z tego, jeśli katolicy nie doceniają Wiatyku. Ile radości, ile siły i pokoju daje *Wiatyk przyjęty w czasie właściwym z należytą pobożnością!* Wiatyk to przecież Jezus, który prowadzi katolika z tego życia do życia innego, w wiecznej radości. W dźwiękach dzwonka, oznajmiającego wiernym przyjście kapłana z Wiatykiem do chorego, słychać jakby śpiew Aniołów. Głoszą oni chwałę Chrystusa, Boga-Człowieka — głoszą pokój i radość chorym i cierpiącym!

O częstej Komunii świętej chorych

Kościół pragnie, by te radosne spotkania Jezusa z chorym odbywały się jak najczęściej. Pragną tego chorzy. Przecież dobrze pamiętają, jak to do Jezusa przynoszono chorych, jak Jezus odwiedzał chorych w ich domach i ile im udzielał pociechy, odpuszczał grzechy, zdrowiem i pokojem ich darzył. Jezus i dzisiaj tę samą moc i siłę posiada, i dzisiaj chce i może jej udzielić tym, którzy zbliżą się do Niego z wiarą i miłością. Oprócz Komunii świętej jako Wiatyku — katolicy mogą przyjmować Jezusa w Komunii świętej częstej. Takie jest pragnienie Jezusa i Kościoła, takie pragnienie chorych i ich przyjaciół. Pomówmy więc jeszcze *o częstej Komunii świętej chorych.*

Trzeba o tym mówić z tymi, którzy jej pragną, żeby osiągnęli z niej jak największe pożytki. Trzeba mówić z tymi, którzy zdala stoją od praktyk religijnych i nie doceniają wartości Eucharystii, jako Ofiary i jako Chleba, który życie daje.

Częsta Komunia święta stała się już nieodzownym pokarmem tysięcy katolików zdrowych. Przyjmują Jezusa codziennie lub często, razem z Nim idą w życie, do pracy, stają się Jego uczniami, towarzyszami, apostołami. Częsta Komunia święta i częsta Spowiedź prowadzą katolików do coraz lepszego życia według zasad Ewangelii, do uświęcenia siebie i swego otoczenia. Ci katolicy dobrze rozumieją słowa Jezusa: „Bezemnie nic uczynić nie możecie"! —

i słowa św. Pawła: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia“. Gdy przyjdzie choroba, starość, cierpienie, ci katolicy chcą dalej często łączyć się z Jezusem. Rozumieją, że wtedy właśnie tym więcej potrzeba im bliskości Miłosiernego Samarytanina, Dobrego Pasterza, Boskiego Lekarza, trzeba im Chleba życia, zdrowia, nieśmiertelności!

Widzimy więc, że wielu katolików zdrowych i chorych często przyjmuje Jezusa w Komunii świętej. Czy wszyscy dobrze przyjmują? Czy wszyscy należycie współdziałają z Jezusem, stają się żywymi i doskonałymi cząstkami Jego, rolą urodzajną, na którą pada dobre ziarno? — Zdarza się, że ktoś przyjmuje pokarm, ale go nie trawi należycie, organizm jego jest chory. Zdarza się, że soki życiodajne krążące w drzewie natrafiają na opór gałęzi suchej, nieurodzajnej. Są katolicy, którzy przyjmują często Komunię św., ale nie dają należytych owoców, nie pracują nad sobą, nad swoją wolą, marnują Boży pokarm.

Kościół w imię Jezusa udostępnia Komunię św. wszystkim, którzy są wolni od grzechu śmiertelnego i mają dobrą intencję — Komunia św. ma stać się lekarstwem, które wzmocni człowieka, ustrzeże go od nowych grzechów śmiertelnych, uleczy od grzechów powszednich, wprowadzi na wyżyny życia doskonalszego. To wszystko może się stać tylko przy naszej współpracy, nie wbrew naszej woli. Jezus bez nas nic uczynić nie może. Jezus chce widzieć naszą dobrą wolę, wytrwałość, ofiarność.

Gdy ludzie widzą, że jakieś lekarstwo naprawdę skutkuje, wtedy chętniej sami wezmą to lekarstwo. Gdy ludzie zobaczą, że katolicy, którzy często przyjmują Chleb życia, naprawdę są zdrowsi i silniejsi w życiu religijnym, wtedy sami tego Chleba zapragną. To będzie najlepszy sposób pozyskiwania innych do częstej Komunii świętej. Gdy zdrowi i chorzy sąsiedzi zobaczą, że w domu, na sali szpitalnej, w sanatorium częsta Komunia święta naprawdę pomaga do przemiany i poprawy życia, wtedy sami zbliżą się do Jezusa i z Nim się złączą. „Kto mieszka we mnie, a ja w nim, ten wiele owocu przynosi“ (Jan 15, 5). Rozważcie to. — Wiecie o tym dobrze, że trzeba czasem długo przyjmować jakieś lekarstwo w małych dawkach, zanim przyjdzie przewidziany przez lekarza pomyślny skutek. Pokarm musimy co dnia spożywać, żeby zachować i rozwijać nasze życie. Podobnie ma działać Komunia św. jako pokarm i lekarstwo. Chrześcijanin powoli, stopniowo wrasta w Szczep winny, łączy się z Jezusem, zdrowieje pod względem religijnym, krzepnie w cnotach, owocuje w życiu codziennym dobrymi czynami apostolstwa i miłości. Wiemy, że po jednej czy kilku Komuniach świętych katolik nie stanie się świętym gotowym do kanonizacji. Wiemy i to, że

częsta Komunia święta przeżywana należycie daje coraz więcej świętych, w których Chrystus żyje i działa.

Teraz, jak sądzę, rozumiecie, jak wielką odpowiedzialność mają ci, którzy mogą przyjmować często Komunię świętą. Wezwanie Jezusa *„Bierzcie i jedzcie"* usłyszą i wypełnią inni chrześcijanie wtedy, gdy zobaczą, co ta Komunia św. działa w ich braciach i siostrach. Wielką odpowiedzialność mają i ci, którzy zaniedbują zbliżyć się do Eucharystii, obojętnie biorą udział we Mszy św., nie przyjmują Komunii świętej, z trudnością dają się nakłonić do przyjęcia Komunii św. w okresie Wielkanocnym lub jako Wiatyku. Ci obojętni, niemyślący, nieczuli na głos Jezusa katolicy tracą wielkie łaski, narażają siebie na zanik życia religijnego i rozpanoszenie się grzechów ciężkich i powszednich. Jeśli mają śmiałość czynić zarzuty jakieś tym, którzy przyjmują już Komunię św. w sposób (ich zdaniem) mało skuteczny, to niechże mają także śmiałość pokazać, że *sami uczynią to lepiej!* Samym gadaniem tej sprawy nie można załatwić. Niech mówią czyny, Jezus mówił czynami: wziął chleb w ręce, błogosławił: Bierzcie i jedzcie...

Kościół pomaga katolikom w spełnieniu tego wezwania Jezusa. Niektórzy chorzy nie mogą być na czczo, nie mogą zachować tzw. „postu Eucharystycznego", a mogą mieć często u siebie kapłana z Komunią św. Prawo kościelne w kanonie 858 § 2 głosi: „Chorzy, którzy już od miesiąca chorują, bez nadziei na rychłe wyzdrowienie, mogą, na podstawie roztropnej rady spowiednika, przyjmować raz lub dwa razy w tygodniu Eucharystię, chociażby przedtem spożyli lekarstwo lub coś w rodzaju płynu". Gdyby ktoś pragnął jeszcze dalszej ulgi, to może uzyskać dyspenzę na więcej dni, a nawet na codzień. Trzeba tylko sprawę omówić z kapłanem, uzyskać poświadczenie lekarza, że chory nie może zostawać na czczo, napisać pismo do Kurii Biskupiej, załączyć świadectwo lekarskie i opinię kapłana. Stolica Apostolska dotąd wszystkie tego rodzaju prośby załatwiała przychylnie. Największą trudnością stanowić będzie to, żeby kapłan mógł choremu często Komunię świętą przynosić. W szpitalach i sanatoriach są kapelani, którzy spełnią chętnie każde rozumne życzenie chorych. W niektórych parafiach rozległość miejsca lub brak dostatecznej liczby kapłanów sprawi, że chorzy otrzymają Komunię św. tylko raz na kwartał, raz na miesiąc, albo co tygodnia.

Zdarzają się już coraz częściej wypadki, że zdrowi zawożą swoich chorych do kościoła na doroczne Triduum, albo w czasie misyj parafialnych, na uroczystości odpustowe, w pierwsze piątki i soboty miesiąca, na uroczystości rodzinne. Są miejscowości, w których dobrzy ludzie przywożą kapłana z Komunią św. do chorych ochotnie i bezpłatnie. — Gdzieindziej sąsiedzi żądają wielkiego wynagrodzenia za

taką usługę. W niektórych parafiach kapłan dojeżdża do chorych własnym wozem, motorem lub chodzi pieszo, gdy jest bliżej i gdy ma siły do tego.

Dom, w którym jest chory, trzeba przygotować nieco na przyjęcie Jezusa, ale trzeba unikać przesady, nie nużyć chorego zbytnimi przygotowaniami, a także mieć poczucie przyzwoitości wobec Boga i kapłana Chrystusowego i usunąć nieład i nieporządek z domu. W szpitalach i sanatoriach, w domach zbiorowej opieki należy te przygotowania omówić z kapłanem.

Br. Sz.

Dobry uczynek

Życie ludzkie przejawia się w myśleniu, odczuwaniu i działaniu. W różnych okresach zarówno życia człowieka, jak i społeczeństwa, dziedziny te mają różne miejsce, różne znaczenie.

Nie można w życiu człowieka oprzeć jego postępowania tylko na wyrozumowaniu lub tylko na stronie uczuciowej. Nie można przekreślić uczuć na korzyść myślenia, czy odwrotnie.

Okres okupacji zmuszał często człowieka do działania opartego na krytycznym rozumowaniu, gdy chodziło o zapewnienie sobie, czy rodzinie egzystencji materialnej albo w ogóle życia. Rósł więc egoizm — ale ten sam okres dawał przykłady wręcz odwrotne. Dawał dowody wzajemnej miłości, jak za czasów pierwszych chrześcijan.

Minęły te czasy, ale wulgarne samolubstwo u jednych się wzmogło, ustaliło, u innych egoizm przeminął, pozostawiając mniejsze lub większe ślady. Sposób życia oparty tylko na obliczeniach własnych korzyści, ambicji, bez względu na krzywdę drugich, wiemy o tym — zdarza się wśród ludzi. — Przyzwyczajenie i potrzeby odgrywają ważną rolę.

Żyjemy w okresie przemian społecznych, politycznych, gospodarczych. Powiedzmy sobie, że nawet my zwyczajni szarzy śmiertelnicy, rozumiemy życie religijne inaczej niż rozumiano je 50 lat temu, chociaż zasada jest przecież od Narodzenia Chrystusa ta sama, że „uczynki mówią za nas".

Dziś rozumiemy, że być katolikiem, to żyć według zasad Chrystusa, wcielać w czyn Jego przykazania. Przestawmy więc nasze życie religijne przede wszystkim na działanie.

Ta forma życia religijnego powinna mieć jakiś swój kształt zewnętrzny, prosty, jasny do zrozumienia, do odczucia, a prowadzący do działania.

Takim zewnętrznym kształtem, obrazem mógłby być Codzienny Dobry Uczynek — jak codzienny rachunek sumienia.

A jeżeli nie codzienny, to w ogóle Dobry Uczynek.

Ile jest potrzeb ducha ludzkiego, ile potrzeb materialnych, ile wzajemnych stosunków międzyludzkich, tyle mogłoby być dobrych uczynków w różnej skali: od małych usług do wielkich poświęceń; od groszy do zasadniczej pomocy materialnej — ludzi prostych i wykształconych, dzieci i dorosłych, zamożnych i mniej zamożnych.

Byłby to ruch w naszym życiu religijnym, zaspakajający potrzebę serca miłości bliźniego, a wyrażający się w działaniu.

Przyzwyczailiśmy się w naszych modlitwach zanosić prośby. Próśb mamy wiele.

Spróbujmy czasem zmienić naszą modlitwę, czy wzbogacić w inną treść. Nie chciejmy tylko brać, chciejmy też dawać.

Zbiór naszych uczynków niech służy rodzinie, Ojczyźnie, społeczeństwu.

Błog. Wincenta Maria López y Vicuna

Założycielka Córek Marii Niepokalanej dla służby domowej [1]).

Bóg, niezgłębiony w Swych odwiecznych zamierzeniach nad światem i nad jego słabymi i tak bardzo nieraz grzesznymi dziećmi, pełen jest jednak dla nich nieskończonej miłości. Jak matka pochyla się nad każdym swym dzieckiem a najtroskliwiej nad tym, które nieraz najbardziej jest, według ludzkiego osądu, upośledzone, by mu spieszyć ze skuteczną pomocą — tak Bóg pragnie dopomóc różnym dolegliwościom ducha i ciała jednostek czy też grup społecznych, powołując do życia w różnych epokach ludzi, którzy by zapaleni przykładem apostolskiego życia Jego Syna, oddali się całkowicie na usługi bliźnich.

Wiek XIX — wiek, w którym pod wpływem pozytywistycznej filozofii francuskiej zwrócono się do rozbudowy przemysłu europejskiego, stworzył specjalny typ człowieka, zatopionego w dążeniu do opanowania różnych dziedzin przemysłu, żądnego ciągłego zwiększania produkcji i zaspokojenia rozbudzonych pragnień szybkiego bogacenia się. Pomocą a raczej narzędziem do osiągnięcia tego stał się człowiek szary, zmuszony zresztą siłę swych mięśni, swych nóg i rąk, w ogóle sprawność fizyczną swego ciała zamieniać na pieniądz potrzebny mu do życia. Takim człowiekiem stał się właśnie i przede wszystkim robotnik, a także w mniejszym stopniu tzw. w owym czasie służba domowa.

Ubóstwienie przez kapitalizm oraz burżuazję przemysłu i pieniądza, kult dla jego życiowej prężności, musiały pociągnąć za sobą, na skutek także różnych wrodzonych słabości i nędz natury ludzkiej, zapoznanie i ucisk człowieka szarego, który służył do osiągnięcia tychże celów. A chyba najbardziej zapoznanymi istotami były w owym czasie rzesze pomocnic domowych narażone na liczne niebezpieczeństwa i możliwości różnorakiego ich wyzyskiwania.

Czyż mógł ktoś wtedy przypuścić, że w małej mieścinie hiszpańskiej wzrasta już dziecię naznaczone stygmatem szczytnego powołania do ofiarnej pracy dla tych właśnie wydziedziczonych?

W pięknej okolicy u stóp wyżyny nawarskiej rozpościera się małe miasteczko Cascante. Ono to było miejscem zamieszkania rodziny odwokata Józefa Marii López i małżonki jego Nicoliny Vicuna. W tej rodzinie właśnie przyszła na świat 22 marca 1847 roku Wincenta Maria, zaraz następnego dnia ochrzczona w tamtejszym kościele parafialnym. Rodzice jej, jakby przeczuwając jej szczytne późniejsze powołanie, wcześnie przygotowali ją do przyjęcia sakramentu Bierzmowania, co nastąpiło w 1853 roku a w szóstym roku życia dziewczynki. Dostrzegając niezwykłe dary, którymi Bóg hojnie obdarzył ich córeczkę: żywą inteligencję, bardzo wcześnie przejawiającą się w dziecku, pobożność stale wzrastającą, nadzwyczajne umiłowanie Eucharystii i gorącą delikatną czułość dla Niepokalanej Matki Bożej oraz ducha apostolskiego, który sprawiał, że gromadziła wokoło siebie małe biedne dziewczynki, pouczała je o Bogu i zachęcała do służenia Mu, wysłali ją zaraz następnego roku do Madrytu do siostry matki, Eulalii, by przygotować ją do przyjęcia pierwszej Komunii św. Metodą przygotowawczą miała być praktyka czynnej miłości bliźniego. Widocznie mieli intuicyjne, choć bliżej nieokreślone wyczucie wielkich zamierzeń Bożych nad swą córką, skoro po-

---

*) Życiorys włoski: P. Celestino Testore S. J. „La Beata Vincenza Maria López y Vicuna fondatrice delle Figlie di Maria Immacolata per il servizio domestico". Tip. editrice M. Pisani — Isola del Liri.

słali ją do rodziny oddanej niepodzielnie dobroczynności. Ciotka jej bowiem z poświęceniem katechizowała wśród chorych w szpitalach, w więzieniach a szczególnie gorliwie zajmowała się ubogimi służącymi, które na skutek nędzy oddawały się życiu rozpustnemu.

Już jako malutka dziewczynka promieniała Wincenta Maria miłością Boga, toteż nazywano ją „świętą dziewczynką" (la nina santica). Tak przygotowana przez dobre uczynki do pierwszego zjednoczenia się z Panem Jezusem w Komunii św. wraca do domu rodzinnego i w 1857 roku przyjmuje po raz pierwszy Chleb Żywota. Szczegółem charakterystycznym w życiu tej nowej Błogosławionej jest poprzedzenie przyjęcia Sakramentu Miłości przez Sakrament Bierzmowania podobnie jak w życiu św. Marii Goretti. Po pewnym czasie wraca jednak do Madrytu, gdyż rodzice chcieli jej dać staranne wykształcenie a w rodzinnym miasteczku brak było odpowiednich ku temu warunków. Tu dzieli czas pomiędzy naukę i uczynki miłosierdzia. Już wtedy często mówi sobie to, co później powtarzała swoim córkom: „Bądź taką by móc zostać także świętą"! W tych pierwszych więc dziełach miłosiernych dziwnym zrządzeniem Opatrzności znajduje okazję do zaprawiania się do tego rodzaju apostolstwa, który stanie się szczególnym powołaniem jej życia. Cóż dziwnego, że obdarzone tylu przymiotami umysłu i serca a także wdziękiem postaci dziewczę jednało sobie serca otoczenia i wkrótce znalazło starających się o jej rękę młodzieńców. Wobec tej ewentualności nie waha się: ze stanowczością odmawia swej zgody na zamążpójście mówiąc pani Ferdynandzie Tenreiro: „Nie wyjdę za mąż jak tylko za króla, albo za świętego".

Na modlitwie często zadaje Panu Jezusowi pytanie: „Panie, co chcesz, abym uczyniła"? Wstępnym etapem do rozeznania Woli Bożej staje się ślub czystości, który składa w roku 1866 za zgodą swego spowiednika. Dziewiętnasty rok życia — okres, w którym Hiszpanka jest już strażniczka własnego ogniska domowego, dla Wincenty Marii staje się dojrzewaniem jej misji życiowej w głębi jej duszy. Zaczyna odczuwać pragnienie życia kontemplacyjnego w czasie szczęśliwych chwil rozmowy z Panem w kościele Sióstr Wizytek w Madrycie. To znów wydaje się jej, że Karmel miłosierdzia ma być jej przystanią. W tym celu dla rozważenia tych pragnień na modlitwie w ciszy i skupieniu w maju 1868 roku odbywa rekolekcje duchowne według metody św. Ignacego w zaciszu klasztoru Sióstr Wizytek. Rekolekcje te odsłaniają jej Wolę Bożą — czyni niezłomne postanowienie. Ciotce swej Wizytce zapytującej ją o wynik rekolekcji odpowiada zdecydowanie: „Cieszmy się w Panu — ciociu — dziewczęta zwyciężyły".

Jak Pan Jezus nie przyszedł, aby Mu służono, lecz by służyć innym a zwłaszcza najbardziej potrzebującym; zdrowi nie potrzebują lekarza ale chorzy i źle się mający"), postanawia być służebnicą biednych i wykorzystywanych służących.

Trzeba jednak było uwiadomić o tym postanowieniu rodziców. Za radą spowiednika i dwóch swoich ciotek pisze o tym do rodziców. Rodzice jej, mimo głęboko praktykowanej pobożności, nie zgadzają się jednak, żądając, by wróciła do domu. Wraca więc do domu gdzie zastaje nie sprzyjające wykonaniu jej zamiarów okoliczności. Matka zaledwie wstała po ciężkiej chorobie, ojciec zaś jest poważnie chory. Oddaje się z miłością pielęgnacji chorego ojca ale równocześnie wyczekuje odpowiedniej chwili do ponownej prośby o pozwolenie. Gdy po raz drugi otrzymała odpowiedź odmowną, zrozumiała, że przyczyną tego jest chęć zatrzymania jej w domu a nie rodzaj obranej pracy. Nie chcąc jednak rezygnować z powziętego postanowienia zwraca się o pomoc do swego kierownika O. Medrano T. J. ale i tu otrzymuje odpowiedź: „Zdaje się, że jeszcze nie nadszedł czas oznaczony przez Opatrzność. Bóg chce wypróbować twoją słabość, później będzie nagroda. Koniecznie wytrwać: czyń, co możesz, by nie stracić odwagi".

W początkach 1869 roku Wincenta Maria zapada na ciężką chorobę. Rodzice obawiając się, że przyczyną choroby

może być ich opór oddaniu się Bogu ich córki, postanawiają za radą lekarza pozwolić jej na powrót do Madrytu.

Tu wkrótce dochodzi do jasnego zrozumienia, jak skonsolidować zamierzone i rozpoczęte dzieło, mające się stać przystanią dla wielu potrzebujących pomocy służących. Rozumie, że trzeba założyć nową rodzinę zakonną. Studiuje prawa różnych zgromadzeń zakonnych, zwłaszcza Towarzystwa Jezusowego, by ułożyć najodpowiedniejszą dla obranej przez siebie działalności zakonną normę życia. W ten sposób powstaje w 1875 r. zarys reguły, owa „magna charta" nowego instytutu, według słów jej biografa O. Testore T. J. Kiedy zaś 11 czerwca 1876 roku otrzymuje aprobatę wraz z dwoma towarzyszkami przyodziewa habit zakonny, przyjmując go z rąk biskupa sufragana Toledo monsignora Cyriaka Marii Sancha y Hervas. Na postawione jej przez niego pytanie: „Czy jesteś gotowa do oddania się trudom i ofiarnej pracy dla dobra i ratowania dziewcząt w instytucie?" odpowiada: „Ten wtóry cel Instytutu tak bardzo odpowiada uczuciom mego serca, które czuje potrzebę cierpieć ukrycie przez umieranie sobie we wspomnieniu i współżyciu z moimi najdroższymi siostrami, dziewczętami służebnymi, iż od tej chwili składam sobie Bogu w tym celu na ofiarę, sądząc się szczęśliwą ze służenia im w ten sposób, bardziej niż wielcy tego świata uważają się za zaszczyconych służbą swemu panu i królowi. — I spodziewam się od Bożego Miłosierdzia, że dopomoże mi w spełnieniu mej ofiary".

15 sierpnia tegoż roku odbyły się obłóczyny pierwszych postulantek. Nad ich zakonnym wychowaniem pracowała sama założycielka. Snadź ofiara jej musiała być zupełna, ziarno musiało obumrzeć doskonale, gdyż rozrost dzieła od początku był nadzwyczaj szybki i nadzwyczajny. Jeszcze w 1876 r. powstaje fundacja w Saragossie, w 1878 r. w Sewillii, w 1887 w Barcelonie. W następnych zaś latach zgromadzenie jej rozgałęziło się po całej Hiszpanii, we Włoszech oraz w niektórych państwach europejskich i krajach Ameryki Łacińskiej.

28 kwietnia 1888 roku papież Leon XIII wraz z „Decretum laudis" zatwierdził wieczyście Zgromadzenie.

31 lipca 1890 roku Wincenta Maria składa śluby wieczyste. Niedługo, bo zaledwie w pięć miesięcy później umiera w Madrycie, mając dopiero 44 lat życia.

Wśród tych trudów nieustannych około wznoszenia fundacji i rozwoju Zgromadzenia nie zapomina o głównym zadaniu swego życia: „Bądź taką by móc stać się świętą" — to dewiza, która ją prowadzi przez wszystkie lata życia. — Już w 1880 roku, na 10 lat przed wieczystą profesją Wincenta Maria składa ślub czynienia zawsze tego, co najdoskonalsze. Odczuwa nieustanny głód świętości. Zdobyć świętość — to najważniejszy nakaz jej życia, który nie pozwala jej spocząć ani na chwilę.

Należało by wreszcie zebrać razem najbardziej charakterystyczne rysy jej osobowości i świętości wewnętrznej. Zasadniczym rysem, który w niej uderza — to przede wszystkim harmonia uroku jej zewnętrznej postaci z doskonałymi liniami jej wewnętrznej osobowości — jednolitość jakby fizyczna i psychiczna. Prostota i serdeczność, z jaką po macierzyńsku wyciągnęła ręce do tych tak bardzo nieraz wykorzystywanych stworzeń, oddając do ich dyspozycji wszystkie środki i oszczędności na przyszłość, służąc pociechą i radą zupełnie bezinteresownie oraz starając się o ich rozwój umysłowy i duchowy oraz o pogłębienie ich wiadomości praktycznych, ujawniają jej głęboką pokorę. W mniemaniu własnym miała tylko wady a uważając się ich pełną, przyjmowała wszystkie dziewczęta jak Oblubienice Serca Bożego, cząc w nich majestat obrazu i podobieństwa Bożego. Wierzyła, że jest przeszkodą utrudniającą i opóźniającą należyty rozwój Instytutu. Dla rodziny miała zawsze słowa pełne słodyczy i pociechy. W czasie jednych odwiedzin w sanatorium w Panticosa poczuła się niedobrze, prosiła więc swoją towa-

rzyszkę, by zaprowadziła ją do szpitala dla biednych, gdzie by czuła się lepiej w otoczeniu swych braci i sióstr. Kiedy konieczność zmuszała do szukania pomocy dla Instytutu za pomocą jałmużny, sama chętnie kołatała od domu do domu. A gdy czasem zbierała tylko słowa twarde i pogardliwe, twarz jej rozjaśniała się radością a na ustach pojawiał się uśmiech. Mówiła wtedy do towarzyszki: „Jak oni mnie znają dobrze i dlatego mną pogardzają". Z tego wypływało pełne zdanie się na Boga, ufność w Jego pomoc oraz jasność, z którą postępowała zaczętą drogą, kiedy po ludzku sądząc wydawało się, że wszystko runie. Według niej, Instytut był tylko dziełem Opatrzności, któremu ona starała się jedynie poświęcić całą działalność.

Odznaczała się głębokim duchem modlitwy, krótkie wolne chwile spędzała przed Najświętszym Sakramentem. Ale nawet i wtedy, gdy wydawała się pochłonięta czynnością zewnętrzną, wewnętrznie swobodnie obcowała z Panem. Żyła w atmosferze wolności ducha, świadomie nadprzyrodzonej. Z tego płynął pokój i radość, ponieważ wszystko pokładała w Bogu.

Nie brakowało jej jednak, jak zwykle w takich Bożych dziełach, przeciwności, niezrozumienia przez otoczenie, świadomie stawianych przeszkód. Ale przyjąć to, przecierpieć, widzieć się strąconym z nieba — to rezultat prawdziwej świętości.

Można łatwo zrozumieć wewnętrzną ofiarę Błogosławionej, gdy w styczniu 1879 roku w parę lat po założeniu fundacji pojawiły się krwotoki, dające poznać, że zdrowie jej jest poważnie nadwyrężone. Przestraszone siostry obdarzyła anielskim uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Jestem tylko narzędziem w ręku Boga; jest się warta tylko tyle, o ile się służy godnie".

Jest przeto naturalne i zrozumiałe, że córki jej i dziewczęta, nad którymi pracowała, znajdywały w niej zawsze delikatną matkę, chętną kierowniczkę oraz pewną podporę w trudnościach i różnych obawach. Z jakąż skwapliwością i czujnością zapobiegała potrzebom różnych domów i osób w nich mieszkających, nie zaniedbując stosownych przestróg i surowej nagany. Ale czyniła to zawsze z delikatnością macierzyńską, która umie karać równocześnie darząc zrozumieniem nawet w powstrzymywaniu od czegoś.

Dzień 26 grudnia 1890 roku, dzień uwolnienia jej od służby i odejście do ojczyzny niebieskiej był dla jej córek dniem wielkiego bólu oraz wielką stratą dla Instytutu, który korzystał z jej przykładu, jej kierownictwa wewnętrznego, jej roztropnej i zawsze w porę działalności.

Mimo że przeszła przez wiele utrapień, wiele przecierpiała, zawsze miała uśmiech na ustach: „Jak zechce Pan, tak powinnyśmy chcieć także i my" oto jej ulubione słowa.

Kiedy opinia o jej świętości zaczęła stawać się coraz bardziej powszechną, monsignor della Chiesa, późniejszy papież Benedykt XV dał podnietę do badań przedwstępnych. W 1913 roku rozpoczął się proces informacyjny ukończony w 1921 roku. 21 marca 1913 roku Ojciec św. ogłosił heroiczność jej cnót po rozpatrzeniu dwóch za jej przyczyną uleczeń: Agnieszki Dean Guelbensu di Cascante uleczonej z meningitis, uleczenia niemożliwego w porządku naturalnym ze względu na gruźliczy organizm i bliskość śmierci. Wezwawszy gorąco wstawiennictwa Sługi Bożej została uleczona w jednej chwili 27 lipca 1928 roku. W 1929 roku Józef Maria Gomez Ullate kuzyn Agnieszki, chory na gangreniczną anginę i bliski agonii, po odprawieniu jednej nowenny do Czcigodnej Sługi Bożej poczuł się uwolnionym od choroby w jednej chwili. Po stwierdzeniu tych dwóch wypadków 11 grudnia 1949 roku ogłoszono dekret o możności dokonania uroczystej beatyfikacji, która się też odbyła 19 lutego 1950 r.

Duch jej żyje w Zgromadzeniu nadając mu właściwy kierunek, by mogło spełnić doskonale swe posłannictwo. Wyprasza nieustannie obfitość łask duchownych i doczesnych, pociągając wiele gorliwych dusz w ślady Założycielki.

C. R

O. Franciszek Kwiatkowski T. J.

(1888–1948)

O północy, na uroczystość Podwyższenia Krzyża św. w r. 1888 starosądeckiej rodzinie kuśnierza Kwiatkowskiego urodziło się czwarte dziecko [1]). — Chłopczyk wzrastał w skromnych warunkach. Rodzina nie była zamożna, a dzieci przybywało. Z dziesięciorga czworo zmarło w młodym wieku, sześcioro pozostałych zawdzięcza wychowanie i wykształcenie usilnej pracy ojca i zapobiegliwości matki. Mały Franuś, budząc się, słyszał ją śpiewającą godzinki. Szybko się ubierał i biegł do kościoła służyć do Mszy św. przed otarzem św .Kingi, do której przez całe życie zachował wielkie nabożeństwo. Bo tam jakoby zbudziło się w jego duszy powołanie zakonne i kapłańskie. W ogrodzie Kwiatkowskich w Starym Sączu do niedawna rosła jeszcze śliwa, na którą wdrapywał się Franuś, aby z wysokości głosić kazanie. Czternastoletni chłopiec z węzełkiem w ręku ucieka pieszo do Nowego Sącza, żeby wstąpić do Jezuitów. Po kilku dniach powraca — małoletnich nie można przyjąć do zakonu bez zgody rodziców — i na kolanach błaga o pozwolenie. Jakaż radość, gdy je wreszcie otrzymał i spokojnie mógł rozpocząć nowicjat w Starej Wsi.

Nigdy nie zapomniał O. Kwiatkowski, co zawdzięcza swojej rodzinie. Bo rodzina chrześcijańska jest kolebką powołań. Z domu rodzinnego wyniósł zamiłowanie modlitwy i pracy, oraz wielkie nabożeństwo do Matki Najśw. Niemały też wpływ wywarł na Franusia świątobliwy Jezuita O. Gawlikowski, moderator Sod. Mar. uczniów.

19-letni zakonnik z odznaczeniem zdaje maturę, poczem przez dwa lata studiuje filozofię, a przez trzy następne uczy w Zakładzie Chyrowskim. W r. 1912 wyjeżdża do kolegium teol. OO. Jezuitów francuskich w Ora Place pod Hastinga w Anglii, gdzie w r. 1916 otrzymuje święcenia kapłańskie, a w roku 1917 doktorat z filozofii i teologii.

W roku 1917 powraca do Polski, odbywa w Starej Wsi trzecią probację i rozpoczyna wytężoną a tak wielostronną pracę kapłańską.

Profesorem przedmiotów filozoficznych był O. Kwiatkowski blisko 30 lat, przez kilka lat także przełożonym kleryków, cenzorem książek, współpracownikiem Przeglądu Powszechnego, redaktorem „Dworu Marii". W latach 1946—1948 oprócz wykładów w kolegium Jezuitów dojeżdża jeszcze na dwa dni w tygodniu do Seminarium lwowskiego w Kalwarii.

Prelekcyj i misyj 238; w tym 48 serii dał O. Kwiatkowski dla kapłanów, 39 dla zakonnic — reszta to rekolekcje dla kleryków, nauczycieil, nauczycielek, oficerów, sodalicyj, apostolstwa modlitwy, młodzieży akademickiej i szkolnej, dla więźniów oraz parafialne.

Niestrudzony w głoszeniu kazań, konferencyj duchownych, słuchaniu spowiedzi i zaopatrywaniu chorych był rzeczywiście wielkim pracownikiem w winnicy Pańskiej.

Jako Dyrektor Apostolstwa Modlitwy organizował i prowadził licz-

[1]) Referat wygłoszony przez p. Cecylię Piotrowską na akademii żałobnej. urządzonej staraniem Sodalicji Pań. której O. Kwiatkowski przez szereg lat był moderatorem.

ne pielgrzymki do miejsc świętych w kraju, a dwukrotnie: w roku jubileuszowym i na kanonizację bł. Andrzeja Boboli — do Rzymu.

W roku 1936 jako członek Komitetu bierze udział w organizacji uroczystości ku czci Piotra Skargi.

Od roku 1937—1939 oprócz profesury i licznych prac duszpasterkich, jeździ po całej Polsce jako promotor Apost. Modlitwy z naukami lub rekolekcjami, po których następuje założenie nowego Koła, lub przyjęcie członków do już istniejących oraz poświęcenie Rodzin Bożemu Sercu.

Prawie od początku swej pracy kapłańskiej aż do ostatniej choroby O. Kwiatkowski prowadzi Sodalicje Mariańskie. W latach 1932—1936 jest moderatorem aż 5-ciu sodalicyj. — Związek Sodalicyj Pań Wiejskich prowadzi przez 8 lat. Przez cały ten czas bierze czynny udział w Zjazdach i kursach sodalicyjnych oraz w konferencjach i zjazdach moderatorów.

Wreszcie wspomnieć trzeba, że jako spowiednik nadzwyczajny licznych Zgromadzeń zakonnych nie tylko dojeżdża co kwartał wyspowiadać, ale w innym czasie służy przełożonym zakonnym radą i pomocą; nie brak go też przy obłóczynach, ślubach i profesjach.

Nie sposób tu wyliczyć blisko 400 prac O. Kwiatkowskiego wydanych drukiem. Oprócz pojedyńczych artykułów treści filozoficznej, recenzyj, kazań, rozmyślań, broszurek o aktualnych zagadnieniach, obrazków z życia Kościoła św. — jest zbiór wykładów dla katolickiej inteligencji p. t. „Z pogranicza filozofii i teologii“ oraz kilka cyklów rekolekcyjnych.

Jedną z najważniejszych pozycyj biograficznych jest przekład „Historii filozofii w zarysie“ Stöckla-Weingärtnera, którą tłumacz uzupełnił historią filozofii w Polsce.

Już po wojnie wydrukowane zostało trzytomowe dzieło: „Filozofia wieczysta w zarysie“. Ubolewając nad brakiem filozoficznych podstaw wiary w inteligencji katolickiej, chciał autor dać społeczeństwu naszemu książkę zarazem gruntowną i przystępną dla czytelnika, który nie posiada jeszcze filozoficznego wykształcenia. Dzieło zyskało uznanie wielu kompetentnych krytyków z ks. bp. Stepą i O. Jackiem Woronieckim na czele, oraz całej katolickiej inteligencji. Sodalicje Mariańskie zaś na zjeździe swym w Częstochowie w roku 1947 zaleciły wszystkim sodalicjom pilne przestudiowanie tego dzieła.

Trudno pojąć, w jaki sposób potrafił jeden człowiek — jeden kapłan znaleźć czas i siły na tyle pracy duszpasterskiej, nie opuszczając studiów, pisarstwa i profesury. To jest i pozostanie Bożą tajemnicą. Bóg jeden widzi zawsze serce, my, ludzie patrzymy na rzeczy zewnętrzne, i z nich tylko możemy wyciągnąć wnioski.

O. Kwiatkowski nie mówił zbyt wiele o sobie. Pewne światło na jego osobowość rzuca dzienniczek, który prowadził wytrwale od 1913 roku, aż do ostatniej choroby w roku 1948. Spośród lakonicznych notatek o codziennych zajęciach wyrywa się co chwila akt strzelisty, wyraz głębokiej miłości Boga i bliźnich, która była motorem całej jego pracy.

Przyjrzyjmy się dzienniczkowi. Pierwsze, co nasuwa on nam na myśl jest: o r d o   c a r i t a t i s.

Miłość, która wzrastała w sercu młodego alumna, była miłością coraz bardziej uporządkowaną. Bóg na pierwszym miejscu, Jemu ofiarowuje swoje studia i przyszłą pracę dla zbawienia dusz. Karty dzienniczka roją się od aktów strzelistych: Omnia Soli Deo — A. M. D. G., Chwała Ci Panie! i najczęstrze: Deo Gratias! Deo Gratias! za powodzenie, Deo Gratias za upokorzenie, za łaski i oświecenie, za nadmiar pracy, za miłą wycieczkę, za nowe buty, za ból zęba, za postęp przyjaciela, za

Zmartwychwstanie Polski, za pokrzyżowanie planów pracy — za wszystko bez przerwy dziękuje Bogu. O błogosławieństwo w nauce i w pracy prosi Trójcę Przenajświętszą, prosi N. S. Jezusowe, do którego przez całe życie szczególne a wielkie miał nabożeństwo. I jako kleryk i później już będąc kapłanem chętnie pomaga przystroić kościół na uroczystość Najśw. Serca i cieszy się bardzo, gdy Bóg da pogodę i udaje się pięknie procesja. Był inicjatorem budowy pomnika wdzięczności N. S. J. w Poznaniu i zbierał na ten cel składki.

Matkę Bożą kochał gorąco, nigdy nie zapomniał odnowić swej filiacji w dniu 15. IX. M. B. Bolesnej, uciekał się do Niej we wszystkich sprawach z ufnością prawdziwie dziecięcą; także i do św. Józefa. Poza św. Jezuitami: św. Ignacym, św. Stanisławem Kostką i św. Andrzejem Bobolą na kartach dzienniczka najczęściej spotykamy wezwanie do św. Tomasza z Akwinu. Nazywa go ks. Kwiatkowski „swoim św. patronem nauk", dzień 7. III. nawet po ukończeniu studiów pozostaje dla niego dniem uroczystym. Pod tą datą w roku 1914 znajdujemy notatkę: „po rozmowie z O. Prat... rozgłaszają, żem tomistą, odpowiadam: wszyscyśmy tomiści, przecież dziś świętujemy". A pod datą 18. VII: „W refektarzu czytano Motu Propria Piusa X o wykładzie Summy. Jak jasna wola Kościoła św.! O Panie Jezu, proszę o coraz większą miłość i pogłębienie nauki Doktora Anielskiego". Tegoż roku ks. Kwiatkowski dziękuje Bogu za ogłoszenie 24 tez tomistycznych — po 33 latach przytacza je in extenso — w swej Filozofii Wieczystej i w toku wykładów często się na nie powołuje.

Obchodzą go wszystkie sprawy Kościoła św. — bliskie i dalekie. Misja polska w Afryce ucierpiała od pożaru — ks. Kwiatkowski nic nie posiada, lecz pisze list do O. Generała i uzyskuje hojną pomoc dla misji.

O. Kwiatkowski kochał swój zakon. Dziękczynieniem i prośbą o wytrwanie znaczy na kartach dzienniczka rocznicę otrzymania sukni zakonnej, kapłaństwa i profesji, modli się gorąco o liczne powołania do Towarzystwa.

26. II. 1914. „proszę gorąco o wiele silnych powołań, proszę, błagam o prawdziwego ducha Towarzystwa dla całej prowincji. Żniwo tak wielkie, a robotników tak mało. O, proszę i dla mnie o gorliwość i wytrwanie. Proszę o dużo dobrych powołań do Towarzystwa".

15. VII. Po otrzymaniu wiadomości z kraju o małej liczbie nowicjuszów, pisze: „Nowicjuszów tak mało racz Panie ich liczbę pomnożyć"!

9. VIII. prosi bł. Jana Vianney o ducha kapłańskiego.

Modli się za swoich współbraci zakonnych, żywych i Zmarłych. — Cieszy się z powodzenia ich prac, dziękuje za nie Bogu. Podczas I-szej wojny światowej — jest wtedy w kolegium w Anglii, — usiłuje utrzymać łączność ze swoją prowincją.

Wszelkimi sposobami, stara się wysłać korespondencję, choć jako poddany austriacki ma duże trudności. O. Rostworowski wywieziony na Syberię. Każda kartka czy list od niego zanotowane są w dzienniczki — także i radosną wiadomość, że O. Rostworowski ma już krowę, kozę i parę kur. Wiadomość o opuszczeniu zakonu przez któregoś ze współbraci boli go. — Ks. Kwiatkowski modli się za uciekinierów, i modli się dla siebie o łaskę wytrwania.

W późniejszych latach dziękuje Bogu za postępy uczniów, cieszy się, gdy egzamina im dobrze poszły, gdy prace licencjackie były udane. — W pierwszym okresie powojennym, mieszkając przy Sem. arcybiskupim jako profesor, zabiega usilnie o dom Tow. Jez w Poznaniu, kwestuje, dogląda budowy, sprowadza opał, umeblowanie, urządzenie. Chorzy w domu są przedmiotem szczegól-

nej jego pieczołowitości, odwiedza ich, pocieszał, nieraz przy ciężko chorych czy konających siedzi przez całą noc, nie zważając na znużenie po całym dniu pracy. Pielęgnował tak O. Piątkiewicza, O. Tuszowskiego, O. Churain i wielu innych.

Gorliwość o dusze sprawiła, że zawsze był gotów służyć ludziom. Na pierwszym miejscu stawiał ich dobro duchowe: pamiętał o nich w modlitwie i we Mszy św., spieszył ze św. Sakramentami do chorych; jeśli był w domu, a nie wykładał właśnie, na każde żądanie przychodził do konfesjonału. Na wiadomość o wybuchu wojny światowej pierwsze słowa zanotowane w dzienniczku, to: „O Jezu, miej litość nad konającymi". Nie kończyło się jednak na wyłącznej trosce o sprawy duchowe; zabiegał i o dach nad głową, posadę, pomoc materialną, umożliwienie studiów — słowem o wszystko, co jest potrzebne człowiekowi.

Nic dziwnego, że garnęły się do niego dusze, szukające Bożego kierownictwa. Jeszcze zanim został kapłanem, zgłosiła się do niego do Kolegium w Ore Place — Polka, matka dorastających dzieci, odcięta wskutek wojny od męża, który pozostał w kraju. Ks. Kwiatkowski pocieszał ją, dodawał otuchy, doradzał czytanie N. Testamentu i historii Kościoła. Kiedy jednak O. Rektor ograniczył wizyty, aby nie przeszkadzały mu w studiach, Ks. Kwiatkowski poddaje się natychmiast: „Ojciec moim przełożonym, jam na to, abym słuchał, nie mam nic ani pro, ani contra". W następnych latach, zajęty profesurą, nie siadywał w konfesjonale codzień. Ale w soboty wieczór i poranki niedzielne konfesjonał jego był oblężony. Cieszył się z postępów łaski w duszy penitenta, i zawsze siebie, swoje osobiste poglądy usuwał w cień, aby Bóg był rzeczywistym i pierwszym kierownikiem, a spowiednik tylko pomocnikiem do zrozumienia i spełnienia woli Bożej. Rady O. Kwiatkowskiego były krótkie, trafne i rzeczowe. Mimo wielkiej słodyczy i serdeczności, nie wahał się udzielić ostrzejszego upomnienia, jeśli ono potrzebne było duszy penitenta. Potrafił nie tylko podnieść na duchu, dodać odwagi i pocieszyć, ale i wytknąć każde zauważone uchybienie — robił to nawet i poza konfesjonałem, a oko miał bardzo bystre. Mimo to, nigdy nie czuł się penitent skrępowany — szczerze i bezpośrednio wyrażał Ojciec swoje zdanie, szczerze i bezpośrednio można mu było powiedzieć wszystko i być pewnym zrozumienia.

W miłości Boga i bliźnich było źródło niepojętej pracowitości Ojca. 22. XII. 1920 r. był wtedy profesorem filozofii w Poznaniu — notuje: „Trzeci dzień zajęty kuchnią, bo brat kucharz chory". Ojciec Kwiatkowski sprowadza wagon drzewa, pilnuje budowli, kwestuje na kościół, urządza na ten cel koncert, sam roznosi afisze. I za wszystko: Deo Gratias! Ileż to razy po nocy spędzonej przy chorym, albo w wagonie, bez odpoczynku idzie do ołtarza, a potem do pracy; ile razy, sam chory, z gorączką jeszcze zrywa się z łóżka, aby spowiadać, albo jechać z obiecanym kazaniem, czy wykładem.

Podczas pielgrzymki jubileuszowej do Rzymu, gdy widoczne było, że upada wprost ze zmęczenia, na słowa współczucia, odpowiada: „Nic to — byle dusze do Boga prowadzić"! Nawet podczas wakacji swoich, chętnie pomagał w konfesjonale, przyjmował kazanie, katechizował, uczył małych chłopców ministrantury. Czas cenił bardzo i umiał go wykorzystać, a sił swoich wcale nie oszczędzał.

„Póki mogę, chcę coś zrobić dla Boga i zbawienia dusz. Mam przeczucie, że nie będę żył bardzo długo — odpowiedział kiedyś na perswazję, że zbyt wiele bierze na siebie.

Miłość prawdy była źródłem gorliwości Ojca w nauce. Jako kleryk notuje nieraz „studiuję siarczyście“ 21. VII. 1914: „Egzamin dobrze mi poszedł. Wszystko dla Ciebie, Panie Boże, na większą Chwałę Twoją — „Fiat voluntas tua“! Modliłem się: niech się ładnie powiedzie, Panie, jeśli to potrzebne do przyszłych mych prac na większą chwałę Twoją“ — „Tibi honor“!

Młodego teologa ogarnia pewnego razu zwątpienie na widok ogromu wiedzy, której nigdy nie zdoła posiąść! Ale natychmiast rozpoznaje pokusę: „Panie Jezu, ufam, że pomożesz mi zdobyć tyle nauki, ile potrzeba mi dla dobra dusz, — o to proszę, a więcej mi nie trzeba“.

11. VII. 1918: O. Prowincjał zawiadamia O. Kwiatkowskiego, że z woli O. Generała nie dostanie biennium teol. lecz ma obrać zawód kaznodziejski. „Przyjmuję to do wiadomości jako Boże rozporządzenie i pragnę sumiennie pracować — notuje Ojciec. — Bóg Najmędrszy ma widocznie swe zamiary“. Fiat voluntas tua! Adiuva Domine“.

Jakie były zamiary Boże, okazało się w kilka miesięcy później. „O godzinie 2-giej O. Prowincjał woła mnie do siebie i proponuje objęcie katedry fil. scholastycznej w Poznaniu: przyjmuję A. M. D. G. Adiuva Domine!“

W dwadzieścia lat później Ojciec sam zwraca się do Przełożonych przedkładając, że lepiej byłoby, aby stopniowo na profesurze N. W. Ch. B. zastąpili go młodsi, jak twierdził, lepiej przygotowani Ojcowie.

Wybuch II-giej wojny światowej przekreślił te plany, z Woli Bożej Ojciec Kwiatkowski prowadzi nie tylko to, co wykładał już dawniej ale i inne przedmioty filozoficzne, a nawet i język franc. Studiuje też pilnie przez całe życie: Pismo św., Ojców Kościoła, św. Tomasza i jego komentatorów, nowsze dzieła filozoficzne, historię, literaturę, języki. Studiuje jeszcze podczas ostatniej swej śmiertelnej choroby tak długo, póki to jest możliwe, i robi notatki z przeczytanych książek. Wiedzą swą pragnie się podzielić z innymi, jest członkiem wielu towarzystw naukowych, uczestniczy w Zjazdach fil. i teol., przewodniczy Sekcji filozoficznej Towarzystwa Teologicznego.

Nie byłby całkowity obraz Ojca, gdybyśmy pominęli jego wielką miłość Ojczyzny. Podczas pierwszej wojny światowej stale modli się o niepodległość Polski, wszystkie wydarzenia jej dotyczące notuje na kartkach dziennika. Jako poddany austriacki znajdujący się w Anglii podlega kontroli policyjnej, zapytany kiedyś o orientację polityczną, odpowiada: „Moją orientacją jest Polska niepodległa“.

W sierpniu 1914 roku notuje: „Wycieczka do Pett wbrew mej woli. Zwycięstwo nad sobą. Przyjmij je, Panie, za Polskę“.

Patriotyzm Ojca wolny jest od szowinizmu. Modli się także i za inne narody pozbawione wolności.

17. II. 1916 w dzień św Patryka w kolegium Ore Place, jak pisze: wielu teologów nosi bukieciki zieleniny na cześć Irlandii — ja także“. Podczas drugiej wojny światowej rzadko tylko — może raz na rok miałem sposobność widzieć Ojca. — A zawsze, po pierwszych słowach powitania i pytań o moją rodzinę, kierował rozmowę do spraw Polski, walki podziemnej z okupantem, dalszego rozwoju ojczyzny po oczekiwanym zwycięstwie, rozwoju jej w duchu urzeczywistnienia królestwa Bożego na ziemi. Temat ten leżał Ojcu na sercu i tak się zwykle działo, że o nim mówiliśmy i dyskutowaliśmy przez cały czas.

Wspomniałam już o miłości Ojca dla własnej rodziny. Chcę jeszcze podkreślić, że choć jako zakonnik mało miał czasu dla swoich, to jednakże miłość Boga i powołania nie uczyniła go oschłym i obojętnym względem rodziny.

O rocznicach śmierci rodziców i rodzeństwa pamięta przez całe życie, modli się za zmarłych i za żywych: W miarę możności troszczy się o wykształcenie młodszego rodzeństwa, o ich małżeństwa, prace, o ich dzieci, pomaga w trudnościach życiowych. Modli sie za nich, służy im radą —każde odwiedziny brata czy siostry notuje w dzienniczku. Każda uroczystość w rodzinie jest mu okazją do gorącej modlitwy za swoich, cieszy się, kiedy może ich widzieć.

Piękną cechą charakteru Ojca był jego stosunek do przyjaciół. Już jako młody teolog w Anglii zaprzyjaźnił się z teologiem węgierskim ks. Hemmem. Młodzi ofiarowują swoją przyjaźń Matce Najświętszej i Bożemu Sercu.

Po upływie kilku lat, będąc już w kraju, 19. XI. notuje Ojciec Kwiatkowski: „Imieniny Matki Ks. Hemma, pamiętam", a po kilkunastu latach wracając z Rzymu korzysta ze sposobności, aby przyjaciela odwiedzić w Budapeszcie.

Takim był Ojciec i w stosunku do późniejszych swoich przyjaciół. Na pierwszym miejscu — modlitwa za nich, troską o prymat Boga w duszy, o wierność łasce.

W razie potrzeby — pomoc w każdej sprawie, tak duchowej, jak i życiowej, o ile tylko było w jego mocy. Pamiętał o datach różnych uroczystości, pamiętał o świętach i imieninach. Z tymi, którzy odjechali utrzymywał korespondencję w zwykłym sobie telegraficznym stylu — na długie listy nie miał czasu. A wiernym był w przyjaźni — aż do śmierci. Nieraz ludzie po długim niewidzeniu zmieniają się, zapominają. Nie tak Ojciec Kwiatkowski. Po latach niewidzenia znajdowało go się zawsze w tym samym, równie szczerym, otwartym, łatwym w obejściu i serdecznym — i tak samo skorym do udzielania pomocy i rady w sprawach duchowych czy doczesnych. To nie był frazes, gdy Ojciec podpisywał się pod listem: „Oddany sługa w Chrystusie". To była prawda. I w memento Mszy św. o przyjaciołach nie zapomniał nigdy.

Ojciec Kwiatkowski rozumiał wagę cnoty pokory. 12. VII. 1913 r. notuje: „Obrona tezy de martyrio — atakuje Ks. Acosta. Wykładam i bronię kiepsko. Kosztuje mnie to upokorzenie. Bene mihi Domine quia humiliasti me". O jak szukam jeszcze siebie! Następnym razem idzie do Ojca Rektora, i klęcząc prosi go o błogosławieństwo „abym powodzenie umiał ofiarować Bogu, a niepowodzenie chętnie przyjął dla mego upokorzenia".

Zdolności jego i pilna praca sprawiły, że niepowodzenia w nauce były rzadkie, za każde jednak dziękuje Bogu jako za szczególny dar łaski. Pochwały profesorów i kolegów nie wbijały go w próżność, bo powodzenie swoje w nauce przypisywał Matce Bożej. Pokora była podstawą jego głębokiej wdzięczności względem Boga i ludzi. Kiedy udział wiernych w rekolecjach był liczny i pilnie słuchali nauk, nie tylko Bogu składał dziękczynienie, we wzruszający sposób dziękował wtedy uczestnikom rekolekcyj i prosił ich o modlitwy za siebie; a jeśli inny kapłan odprawiał Mszę św. na zakończenie, Ojciec usługiwał przy rozdawaniu Komunii św. podając patenę.

4. X. (imieniny Ojca) przynosił nieraz przeszło 100 listów, i wiele podarków. Ojciec był wdzięczny za każdy drobiazg, za najmniejszy znak pamięci. Przychodziło się do niego po radę, po pociechę w smutku — i jeszcze on był tym, który dziękował za odwiedziny. Na początku znajomości człowiek lękał się zajmować mu czas swymi trudnościami. „Nie rób sobie, dziecko, skrupułów — Ojciec się cieszy, że może ci służyć", odpowiadał na to szczerze. Interesantów było dużo, nieraz wypadło czekać. Nigdy Ojciec nie omieszkał wtedy przeprosić „gościa" za tę przykrość. Wogóle był bardzo słowny i punktualny, jeśli czasem

nie stawił się w terminie, przepraszał za to serdecznie. Słowo „przepraszam“ tak jakoś łatwo i lekko wychodziło z jego ust. Rozpoczynając 60-ty — ostatni — rok swego tak pracowitego życia pisał w dzienniczku: „Boże, przebacz przeszłość; błogosław przyszłość“.

Nie jestem kompetentną, aby móc scharakteryzować poglądy filozoficzne Ojca Kwiatkowskiego, zrobią to napewno fachowcy. Wiem, jakim był w życiu, jak pięknie łączyła się w nim nieugiętość w obronie praw Bożych z prawdziwie katolickim uniwersalizmem. Interesowało go wszystko, co dobre i piękne, od kogokolwiek by pochodziło: Był naprawdę humanistą chrześcijańskim, z Bożego punktu widzenia patrzył na wszystko, co ludzkie i nic mu z tego nie było obcym. Umiał się cieszyć, nie tylko wielkimi sprawami, jak nawrócenie heretyka, pojednanie grzesznika z Bogiem, postępy uczniów; ale i każdym promieniem słońca, widokiem natury, miłą wycieczką. We wszystkim widział odblask Dobroci i Hojności Bożej, — za wszystko Bogu dziękował.

Ta postawa pełna pogody, w połączeniu ze szczerą, życzliwą otwartością i prostotą w obejściu zjednywała Ojcu serca ludzkie, a zmysł humoru rozproszył nie jedną chmurę na czole.

Nadszedł rok 1948 O. Kwiatkowski był czynnym jak zwykle, i zdawało się, że nic nie wróży rychłego końca jego działalności apostolskiej. — W marcu pojechał do Tarnowa głosić przyobiecane rekolekcje, choć nie czuł się zbyt zdrowym. Jakżeby potrafił zostać w łóżku, gdy tam czekały na niego dusze? Katedra w Tarnowie jest wielka, i w tej porze roku bardzo zimna: kaznodzieja czuł się wyczerpany, mówił już z wysiłkiem. Sam opowiadał później, że tylko wstawiennictwo św. Józefa, do którego się modlił gorąco, pozwoliło mu wytrwać i doprowadzić rekolekcje do końca.

Ten ostatni czyn gorliwości apostolskiej okazał się jednak zgubny dla organizmu wyczerpanego nadmierną pracą wielu lat. Po powrocie do Krakowa musiał położyć się na dobre. Postępu gruźlicy już nie dało się zahamować. W maju wysłano go do Zakopanego. Póki mógł, wstawał jeszcze odprawiać mszę świętą. Wreszcie i tego lekarze zabronili.

W sanatorium zakopiańskim odwiedzali chorego liczni przyjaciele. Na słowa ufności, że Bóg zechce go uzdrowić, odpowiadał Ojciec: „60 lat przeżyłem, dosyć mi. Dziękuję Panu Jezusowi za to. Już pora na mnie“.

Co myślał i czuł niestrudzony pracownik winnicy Pańskiej, widząc zbliżający się moment przejścia od czasu do wieczności, mógł zaświadczyć ostatni zeszyt dzienniczka: wiemy, że chory pisał go do ostatnich tygodni. Niestety, tu nić się urywa: zeszyt już nie dotarł do naszych rąk. Czy zniszczył go autor sam przed śmiercią, czy w inny sposób zaginął — nie wiemy.

Z listu ówczesnego Superiora domu OO. Jezuitów w Zakopanem wiemy tylko tyle: O. Kwiatkowski był na śmierć przygotowany, pragnął jej: zmarł pobożnie dnia 24 kwietnia na Górce w Zakopanem.

Olszedł od żniwa wielkiego jeden niestrudzony robotnik. Ufamy, że modli się teraz, aby na jego miejsce przyszło wielu, wielu innych.

C. P.

NADESŁANO DO REDAKCJI:

O. Achilles Desurmont: TYDZIEŃ SŁUGI MARYI. Z francuskiego przełożył O. Józef Madanowski. Wyd. OO. Redemptorystów. Wrocław 1950. Str. 48.

JEZUS MALUSIEŃKI. Książka do nabożeństwa dla dzieci. Wydawn. „Pax“. — Warszawa 1950. Str. 268.

Ks. Zygmunt Przyjemski: EUCHARYSTIA. Rozważania o Przenajśw. Sakr. Wydawnictwo: Niepokalanów 1950. Str. 128.

„Przeżyła czasów wiele"

Przedziwny jest Bóg w świętych swoich! Taka oto refleksja z Pisma św. nasuwa się po przeczytaniu paru fragmentów z pamiętnika śp. Anieli B., opublikowanych w 22 nr „Znaku". Starzy asceci i ambitni amatorzy tomowych dzieł mistycznych, zapewne poczują się zaskoczeni wynikami, jakie osiągnęła ta czternastoletnia dziewczyna. — A ona tymczasem stwierdza dobitnie, że daty tutaj nic nie znaczą, że świętości nie zdobywa się teoretyczną orientacją w subtelnościach wiedzy mistycznej, ani nie osiąga się jej w uzależnieniu od takiego czy innego duchowego kierownika. Są prawda, normy ogólne, ale droga ku świętości, ku Bogu otwiera się przed każdym na nowo indywidualna i niepowtarzalna. Świętość to osobiste i trwałe każdego z Bogiem przeżycie. O jakże głęboko pojętym takim życiu świadczy bezpretensjonalny, pisany „dla nikogo" Pamiętnik Anielki.

Pamiętnik ten — trzeba przyznać lojalnie — w całości jest świadectwem danym Łasce. Głęboki jej nurt odczuwa się w każdym nieomal słowie opisywanych spotkań z „Jasnym". Tym Imieniem nazywa Chrystusa Pana. U Niego, w kontemplacji Jego miłość czerpie dla siebie siłę i hart na codzienne troski, kłopoty, ambicje i rozczarowania najlepszej uczennicy, figlarnej i wesołej koleżanki, a w domu (jak się wyraża St. Skwarczyńska) cierpliwego i pełnego miłości odbiorcy objawów zdenerwowania chorowitej i przemęczonej matki.

Oto jedno z wielu jej spotkań z Jasnym. — „Gdy ksiądz mówił o wewnętrznym przeżywaniu męki Jasnego, przeraziłam się. Przecież ja nie potrafię, ja, która nawet za grzechy nie potrafię żałować. I właśnie wtedy pozłocisty promień spadł z Jego czoła i przeniknął mnie. Ujrzałam Ojca w blasku niezmiernym i chwale anielskiej. Pojęłam, że Jego miłość nie przebiera, że jest ogromna jak nic materialnego, że jest większa od wszystkiego, co tylko istnieje. A w tym oceanie tonie świat i ludzkość. O, gdyby ci biedni pojęli szczęście morza miłości! A ja nurzałam się w tej toni i rozświetliłam nią duszę".

Powyższy opis tego, co mistycy nazywają wizją, uderza niekłamanym autentyzmem. Np. święta Teresa z podobnym entuzjazmem wyraża się w tym przedmiocie: „Zdarza się to szczególnie po Komunii, kiedy już wiara sama upewnia nas o Jego w nas obecności. Wówczas tak się okazuje Panem tej swojej gospody, że dusza jakoby przed Nim niszczeje i cała czuje się pochłonięta w Chrystusie. O Jezu mój! — kto zdoła wypowiedzieć ten blask majestatu, w jakim się w tej chwili objawiasz?" (Życie XXVIII, 7).

Właśnie jedną z takich Komunii św. nasza Anielka odnotowała w swym dzienniczku szczegółowiej. „Jasnego widziałam, a raczej dotykałam duszą we wczorajszej Komunii... I czuję, że On i Jego miłość są nierozdzielne. O, jak dobrze wiem, że widziałam Go tylko przez maleńką dziurkę od klucza, drzwi biednego, ludzkiego umysłu. I widziałam Jego cząstkę najmniejszą, ale ona mnie całkowicie wystarcza i rozkochałam się w niej".

Nie jest to dziewczęca egzaltacja. Anielka wrażliwa na każde piękno, doskonale się orientuje, gdzie ono znajduje się rzeczywiste, nie ułudne. Toteż nic dziwnego, że w drodze swej ku Bogu trzyma się rzeczy sprawdzalnych, konkretnych. Ma wysokie poważanie dla każdego obowiązku. Od strony obowiązku podchodzi do każdego zagadnienia. Oto jeden wypadek charakterystyczny: „Przyszedł list od Hani, która namawia do zapisania się do Milicji Niepokalanej, podając techniczną stronę tego, a więc: adres OO. w Niepokalanowie, wiadomość, że dostaje się dyplomik i święty medalik z reli-

kwiami i... koniec. Ani słowa o obowiązkach. Śmieszyła mnie ta waga przywiązywana do medalika i dyplomu. Odpisałam na ogół odmownie".

Ten trzeźwy realizm życiowy Anielki nie jest jeszcze szczególną cechą jej duchowości. Cechą tą będzie stałe, wytężone wyrywanie się naprzód. Stałe, gruntowne przygotowywanie się na każde spotkanie się z Jasnym. Ten wytrwały wysiłek utrzymania i pomnażania w sobie Jego miłości, a z drugiej strony obawa przed martwotą i zastojem, przed duchową stagnacją w marazmie. Pozwolę sobie przytoczyć dłuższy fragment pełen zwyczajnej u niej poezji. „Mam takie wewnętrzne, głuche poczucie, że takie msze i Komunie, to wcale jeszcze nie takie, jakich trzeba. Nie wiem, czy to prawda, czy tylko głupie przeczulenie nerwów. Ale myślę, że to jednak prawda, ale osiągalna za parę lat najprędzej. Zresztą, bądź co bądź, idzie się zawsze naprzód, tylko, że tak przeraźliwie wolno! Ciągle identyczne pokusy i pokuski, identyczne walki i utarczki o te same ideały, ale nie, nie bardzo, bo właśnie to się zmienia. „Jasny" jest tak dobry, że nawet o tym nie zapomniał, nie zapomniał o zmianie wewnętrznego nastroju i sposobu modlitwy i pewnego rodzaju poglądów. Te neopoglądy to są takie zimy, wiosny, lata i jesienie duszy. Bo dusza też ma swój rok, całkiem niezależny od prawdziwego. Tylko zimy duszy morskiej są bardzo krótkie i rzadkie, tak samo lata łaski i szczęścia. Najczęstsze są przedwiośnia w huku kierunków i wilgotnej odwilży żalu i rozgoryczenia. Są też jesienie zniechęconego, bolesnego zmęczenia wszystkich władz duszy i wewnętrzne przemożne łaknienie odpoczynku. A wiosny są zwykle trochę bolesne, ale jasne. Wtedy się najbardziej zawsze stara i idzie za łaską.

Zaledwie na dwa tygodnie przed śmiercią pisała jeszcze — „w służbie bożej nie ma nigdy takiego szczytu z którego trzeba zejść, wszystko zawsze jest za mało".

„Jaki dasz ratunek duszy, która nie może znaleźć na tej ziemi odpoczynku poza Tobą — powtarzała czasem za swego życia św. N. M. Teresa. — O śmierci, śmierci! — nie wiem jak można bać się ciebie, kiedy w tobie życie"! (Wołanie duszy do Boga VI, 1).

Podobnymi, zapewne, uczuciami było ożywione serduszko małej Anielki, gdy odchodziła z tej ziemi po 33 godzinach okropnych cierpień, a odchodziła bez obaw. — „Co tam będzie na drugim świecie — pisała kilka dni przed śmiercią — zostawiam bez skrupułów Jemu, On jest taki mądry i tak wspaniale urządza, że gdy czegoś nie umiem, to mnie nie pytają, to czemuż nie miałby również dobrze i mądrze urządzić mi ewentualnie niebieskich apartamentów"?

Napewno nie zawiodła się w swej ufności!

O. W. k. b.

SPIS RZECZY

zawartych w roczniku XIX (1950) „Głosu Karmelu".

ZASADY I PRAKTYKA ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO:

MARIOLOGIA:

WZORY I PRZYKŁADY:

SYLWETKI:

GŁOS KARMELU

Miesięcznik poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego

Redaguje Kolegium

Cena pojedynczego numeru 1 zł 50 gr.

Za pozwoleniem władz duchownych i zakonnych

L. 9307/50 Książęco Metropolitalna Kuria

W Krakowie, dnia 10. XI. 1950.

Adres:

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych

Telefon 554-48. Kraków, Rakowicka 18. Nr Konta PKO IV-842/123

M-1-19381 P. K. Z. G. Nr 31 Kraków 227